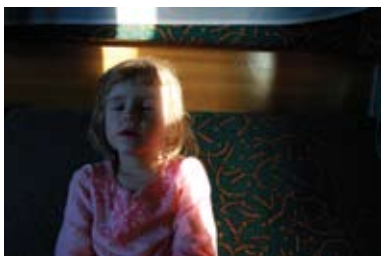




for youth

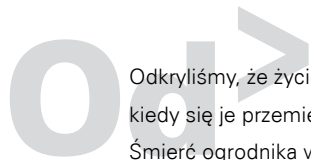


okładka fot.
Klara Kopcińska
2009

Anna Fedorczyk
2012

Materialów nie zamówionych nie zwracamy. Zastrzegamy sobie prawo do robienia skrótów i redagowania nadesłanych tekstów. Nadesłanie materiałów do publikacji jest równoznaczne z oświadczeniem o posiadaniu praw do nich.





Odkryliśmy, że życie tylko wtedy ma sens,
kiedy się je przemienia po trochu w coś, co jest poza nami.
Śmierć ogrodnika w niczym nie zagraża drzewu.
Ale jeśli drzewo będzie zagrożone, ogrodnik umiera dwukrotnie.
Był pomiędzy nami stary bazar, który znał najpiękniejsze opowieści naszej pustyni.
I sam jej jeszcze upiększał.
A znał je tylko on jeden, bo nie miał syna.
I kiedy ziemia zaczęła się obsuwać, drżał o te biedne opowieści,
których nikt już więcej nie wyśpiewa.

Antoine de Saint-Exupéry, „Twierdza”

Pamiętanie, zamazywanie się wspomnień, przekazywanie pamięci, „pochód” pokoleń, konstituowanie siebie poprzez świadomość miejsca w tym „pochodzie”, generowanie pamiątek osobistych, rodzinnych, próby symbolicznego ocalenia siebie i gatunku poprzez twórczość... Pamięć, chęć symbolicznej ucieczki przed śmiercią, jest jednym z tzw. wielkich tematów europejskiej kultury od jej zarania. Komercjalizacja życia oraz pęd do nowości powodują, że temat ten zszedł na co najmniej drugi plan. Odsuwając myślenie o śmierci eliminuje się też potrzebę zostawiania „czegoś po sobie” w sensie innym niż materialny, a także ratowania pamięci tego, co było przed nami, lub czego byliśmy świadkami. Temat pamięci podejmowany w kulturze w ostatnich latach został w dużej mierze ograniczony do aspektu historycznego, z naciskiem na to, żeby przedstawiać przeszłość tak, by podobała się młodemu pokoleniu. Czyni to z niej przedmiot pop-kultury, gier komputerowych, komiksów i zabaw plenerowych. Nie mam nic przeciwko temu, jeśli robione jest rozsądnie, widzę jednak wielką potrzebę przywrócenia tematowi pamięci indywidualnej i „gatunkowej” jego wagi i doniosłości, zarówno w dyskursie o kulturze, jak i w życiu każdego z nas.

podziękowania:

Book Art Museum/
Muzeum Książki Artystycznej
Paweł Tryzno
Stowarzyszenie SPOZA



dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego**
Projekt Pamięć zrealizowano w ramach Stypendium **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** Upowszechnianie kultury 2011



tytuł roboczy
working title

2012 041
ISSN 1733 4691
nakład 30 egz./copies

redakcja i projekt/editors & designers
Klara Kopcińska & Józef Żuk Piwkowski

wydawca/publisher



Stowarzyszenie
Edukacji i Postępu
STEP/STEP Association
for Education and
Progress
Radziłowska 5, m. 1
03-943 Warszawa

tel. (022) 617 68 06 i 601 39 02 05
e-mail 2b@2b.art.pl



Galeria 2b/2b Gallery
www.2b.art.pl
2bartpl.blogspot.com
facebook.com/2bartpl

współpraca
redakcyjna/assistant editor
Izabela Kujawska

druk i oprawa/print & binding
Roband

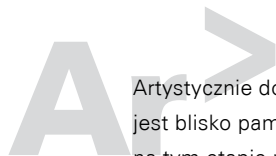
© Klara Kopcińska, Józef Żuk Piwkowski
& autorzy/authors



Jacek Bąkowski	7
Patrycja Dołowy	15
Jacek Jędrzejczak	19
Klara Kopcińska memo	25
Dorota Kozińska	35
Joanna Krzysztoń	41
Wanda Michalak	47
Wiktor Nowotka	55
Józef Żuk Piwkowski	59
Grzegorz Rogala	63
Wojciech Różyński kowboj	67
Wojciech Różyński ogród zoologiczny	69
Jakub Słomkowski	71
Jaśmina Wójcik	77
Rafał Nowakowski permutacje przywiązania	83

<< Jaśmina Wójcik, *Akme*,
fr. instalacji





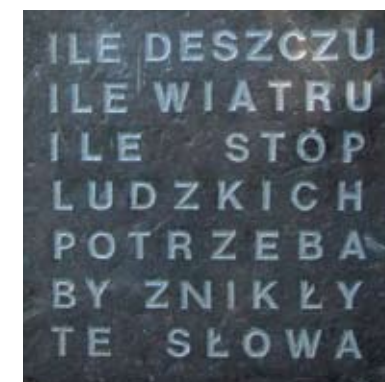
Artystycznie dojrzewałem i fascynowałem się tym etapem sztuki, który nazywany był konceptualizmem, a koncept jest blisko pamięci, koncept jest pewną strukturą zawartą wewnątrz człowieka i, idealnie rzecz formułując, powinien na tym etapie pozostać. Dlatego niektórzy mają taką pretensję do konceptualizmu, że co to za sztuka, która się trzyma tylko postaci myślowej. Natomiast z konceptu bierze się to, co ja uprawiam. Tak mnie nauczono, że gdybym został malarzem i obmalowywał świat, czyli znajdował kolejne tematy do malowania, to byłbym w jakimś sensie przykuty do jednego medium, tymczasem, jeżeli mi różne tematy w głowie się gnieźdzą, to ja muszę poszukać medium, które byłoby adekwatne, które by pasowało do wyrażenia tego tematu. Nie jestem ograniczony tym, że muszę wszystko wykuć w kamieniu albo wszystko namalować. Kiedy przychodzi konieczność narysowania, to z wielką męką siadam i uczę się tego rysowania, bo mam jeszcze cenzora wewnętrznego, który mi tego nie puści, jeśli to coś nie jest narysowane tak, żeby się tego nie wstydził pokazać.

Mówię o samej tej idei, że w głowie pojawiają się pomysły – ale skąd się pojawiają? No zazwyczaj z bagażu pamięci, z tego, co ja nazywam takim plecakiem, który nosimy zawsze ze sobą i rzucamy za siebie bez przerwy jakieś kawałki naszych doświadczeń. One tam wygrzewają sobie miejsce i bez względu na to, czy są dobre czy niedobre, smutne czy wesołe, tworzą powolutku ten nasz najważniejszy bagaż, do którego pod koniec życia dopiero możemy zajrzeć i powiedzieć, jakie to było życie, czy sensowne czy bardzo blahe. Ale to na pewno łączy się z pamiętaniem.

Rozmawiałem się też w czytaniu już jako mały, podobno chodziłem i mówiłem do wszystkich „citaj, citaj”, a przecież ktoś musiał tę książkę wcześniej napisać, żebym ja ją mógł przeczytać, czyli nawet czytając, sięgam do przeszłości, do tego, co ktoś stworzył wcześniej, i może tutaj są źródła tego, że przeszłość jest w moim życiu obecna i pamięć tej przeszłości jest obecna. To jest bogactwo, z tego bogactwa możemy czerpać. Ja bardzo źle różne rzeczy zapamiętuję i może to sprawia, że pamięć jest czymś, co mnie drażni, a jednocześnie drażni pozytywnie, bo z niej wyłaniają się kolejne koncepty. ■

W trakcie pleneru, który robiłem kawał
za Piwniczną, gdzieś w górach, wpadł
mi do głowy taki pomysł, żeby na kamieniu,
który leży na drodze, najlepiej na szlaku
górkim, wyryć napis ILE DESZCZU,
ILE WIATRU, ILE STÓP LUDZKICH POTRZEBA,
BY ZNIKŁY TE SŁOWA.
Zrobiłem to, nie na ścieżce, tylko na kamieniu,
który leżał przy chacie, w której mieliśmy
pracownię. Pojechałem tam dwa lata później
i odkryłem, że kamień został wykopany,
i zabrany. Kiedy się okazało, że mam okazję
powtórzyć to (dostałem w Sokołowsku
od Fundacji In Situ płytę z piaskowca) bardzo
pracowicie ponownie ten napis wyryłem
i wkopałem w główną trasę wiodącą
od sanatorium w głąb parku, została tam
i będzie poddawana obróbce czasu.

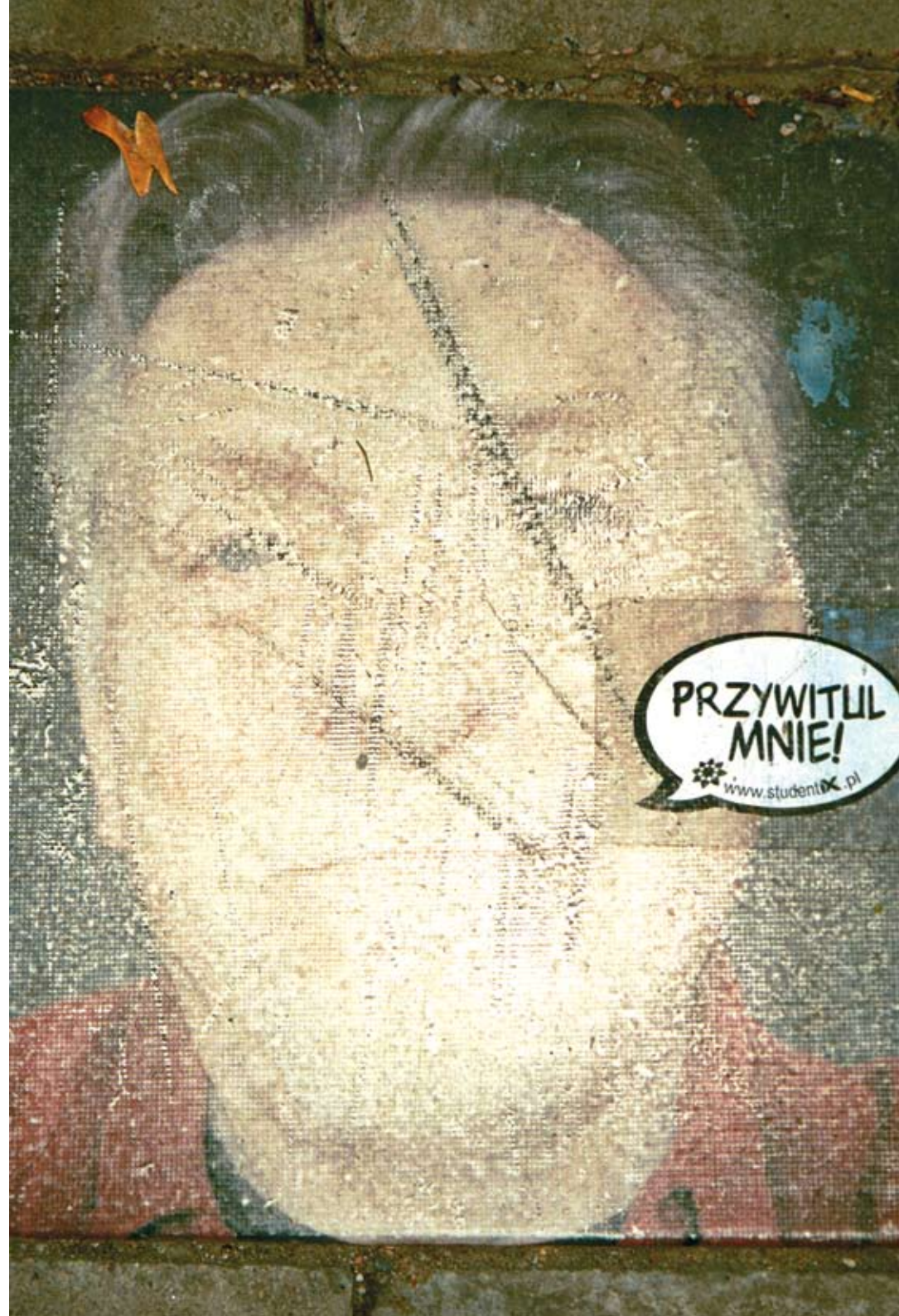
Jacek Bąkowski





>>

Trzy swoje portrety przykleiłem na płytach chodnikowych na ulicy Długiej i poddałem je ścieraniu przez stopy przechodniów. Zostałem rozniesiony po innych płytach chodnikowych oraz po podeszwach ich butów, i w ten sposób moja twarz zniknęła, ale nic w przyrodzie podobno nie ginie. Czuję się częścią tej całości, która nazywa się Warszawa, tu mieszkałem prawie od urodzenia i to miasto jest częścią mojej osobowości, mojego wnętrza.





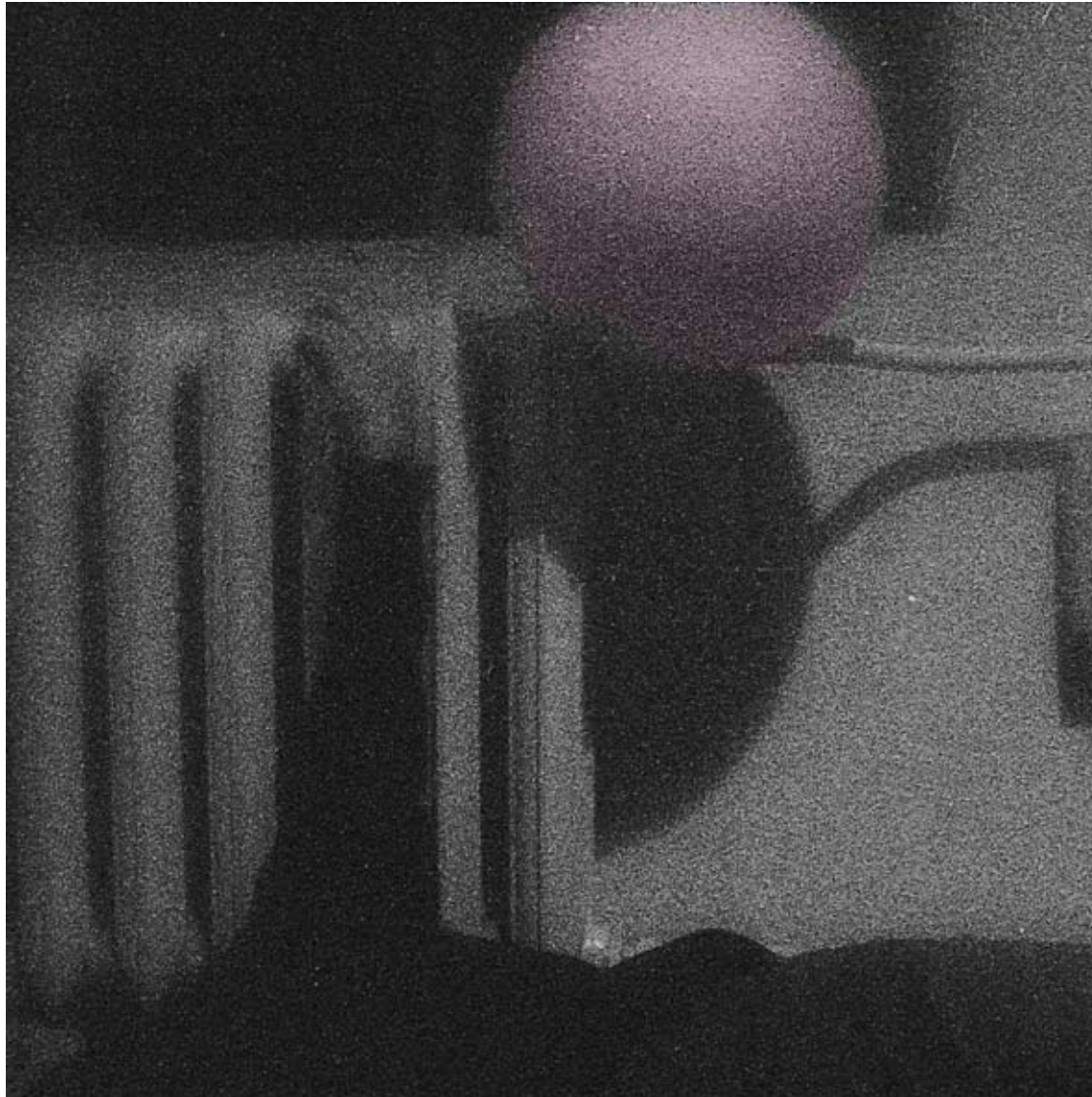
Kredyt 0% - Przez rok jeździsz za darmo!
A.H. Carsteni Sp. z o.o. ul. ...
tel. (0 22) 888 76 56, 888 76 57 www.ahcarsteni.pl

Skorzystałem z przeszłości, czyli z pamięci, kiedy robiłem pracę „Od sztuki nie uciekniesz”, na trzepaku, który stoi dalej przed moim domem i na którym kolejne pokolenie dzieci się bawi. Poprosiłem znajomych z podwórka i swoje własne dzieci, żeby zrobili sztuki na trzepaku, a zdjęcia wywiesiłem wzdłuż Alei Niepodległości przy samej ulicy.

>>
„Tu mieszkał mój ojciec”: Pod koniec swojego życia ojciec bardzo często prosił mnie, żebyśmy pojechali pospacerować w miejsce, gdzie stał dom, w którym on się wychował, a który został zniszczony w czasie powstania. To był bardzo biedny dom, w 12-metrowej izbie mieszkali we czworo: rodzice, mój ojciec i jego brat Ryszard. Po ojca odejściu poszedłem tam z moją córką Dorotą, skrzyłem z patyków ośmiometrową tyczkę, przymocowałem do niej aparat fotograficzny i samowyzwalaczem robiłem zdjęcia w cztery strony świata.











„Widoczki” to takie zabawy dziewczynek – pod małymi szkiełkami chowałyśmy kolorowe wstążeczki, kwiatki... zostawały pod ziemią, można było je po latach odkopać. Oczywiście to nigdy nie zostawało takie samo, zawsze było to już coś innego, ale niesamowita była pamięć tego miejsca, to, że to tam było, to że można to odkopać, i że my tam byliśmy, jakby: tu i teraz. Takie rzeczy wydają mi się bardzo ważne, pamięć miejsca jest czasem tożsama z pamięcią ciała, ma takie momenty wręcz magiczne.

Projekt jest moją bardzo bolesną próbą przepracowania tematu zagłady, który był w mojej rodzinie od pokoleń i który właściwie nigdy nie został do końca przegadany, aczkolwiek nie jestem z takiej rodziny, gdzie to byłoby zupełnie przemilczane, tak jak to czasami bywa, gdzie jest taki absolutnie ukrywany lęk, ale jednak się czuje, że gdzieś ta zagłada jest, przejawia się w obrazach, w jakichś urywanych zdaniach.

Druga rzecz to jest kwestia miasta, w którym żyję, w którym się urodziłam, Warszawy, gdzie też tak strasznie czuje się te dziury w pamięci, dziury w przestrzeni, to, że są takie miejsca, które niosą ogromną pamięć, ale tam nie ma nic – oprócz tego, co sami możemy przechować, w swoich umysłach, w swoich ciałach. I te dwie rzeczy, ciało i miasto, ciało i przestrzeń – ciało, które przemija i miasto, które się kojarzy z trwałością – jakoś mi się połączyły. Robię zdjęcia osobom w sytuacjach, w których chcą być upamiętnione, przy tym rozmawiam z nimi, a one opowiadają mi różne historie. I chodzę po mieście, robię zdjęcia miastu. Zbieram też odlewy, zbieram odlewy miasta, zbieram odlewy ciała, potem je utrwalam, a w końcu rozbijam na drobne kawałki i łączę je ze zdjęciami. To jest taki trochę symboliczny akt zespolenia ciała i miejsca, ale też jest w tym próba utrwalenia nie tylko obrazu, ale tego, co namacalne i dotykalne. Umieszczam też te kawałki, podobne do kamieni, gdzieś w mieście, tak jak w dzieciństwie umieszczałyśmy widoczki, żeby one tam zostały, żeby były już „na zawsze” w strukturze miasta.

Czuję się częścią tego wszystkiego, kolejną osobą, kolejnym umysłem, który coś może przenieść dalej i przechować. Jest to dla mnie z jednej strony bolesne, a z drugiej wzniosłe i w głęboki sposób ważne. Jestem ateistką, dla mnie pamięć to jest taki najwyższy stopień przeżycia, przetrwania, coś niezwykle, niezwykle ważnego.

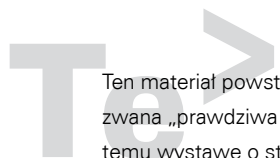
Chcę być pamiętana i wiele rzeczy, które w życiu robię, jest też z tym związane; to, że nie chcę ich robić tylko dla siebie, ale też po to, żeby one przetrwały i żebym ja w nich przetrwała. Ale też jako artystka, jako człowiek staram się pamiętać o tych osobach, których historie – zwykłe, codzienne – nie przetrwały, nie ma ich w kronikach, nie ma ich na zdjęciach, nie ma ich w cudzych przekazach. To mi daje pocztę, że udało mi się ocalić jakąś kolejną pamięć, która już właściwie była skazana na zagładę. ■











Ten materiał powstawał w ostatnich latach, spontanicznie, w sposób nie zainscenizowany czy zaplanowany. To jest tak zwana „prawdziwa historia”. Działania, które podjąłem, nie miały założenia artystycznego. A było to tak: miałem parę lat temu wystawę o starych książkach w Związku Literatów Polskich, przedstawiałem swoje zdjęcia makro, dość „poetycko-zwiewne”. Odbывał się tam doroczny festiwal Warszawska Jesień Poetów i jeden z gości zagranicznych – był to, jak mi powiedziano, Niemiec – bardzo się zainteresował moimi zdjęciami i koniecznie chciał ze mną porozmawiać. Jakoś nie mogłem się z nim skontaktować, niemniej jednak któregoś dnia poprawiając jedno ze zdjęć, usłyszałem nad sobą bardzo delikatny, ciepły głos, mówiący po polsku, okazało się, że to był właśnie ten Niemiec z Lubeki, Józef Pless, poeta polskiego pochodzenia, i tym bardzo ujmującym głosem poprosił, czy ja bym nie zechciał z nim porozmawiać, bo on ma do mnie prośbę.

Spotkaliśmy się i opowiedział mi swoją historię. Jest to historia o śmierci, o miłości, o przyjaźni... I o pamięci, która może być bardzo groźna, choć bez niej człowiek nie istnieje. Pamięć jest rzeczą podstawową dla jednostki, ale czasem może niszczyć, czasem trzeba ją jakoś usystematyzować. Opowiedział mi o swojej tragedii, o tragicznej śmierci swojego syna – która go zaszokowała, którą przeżywał od początku do końca – syna, którego bardzo kochał. Powiedział, że napisał wiersze po śmierci syna, takie, można powiedzieć, treny. Chciał w ten sposób oczyścić się, czy właśnie w jakiś sposób uporządkować swoją pamięć o nim, ale jednocześnie chciał to połączyć z jakimś innym procesem twórczym w innych dziedzinach; między innymi jego przyjaciół z Hamburga, teraz też już nieżyjący, przekazał mu grafiki. I on sobie wyobraził patrząc na moje zdjęcia, że gdybym ja sfotografował te grafiki i dopasował do poszczególnych wierszy, to to stanowiłoby pewną całość, co byłoby dla niego jakimś rodzajem oczyszczenia, swoistym *katharsis*, które pozwoliłoby mu funkcjonować w obliczu tego potwornego przerażającego stempla na linii pamięci.

Wysłuchałem tego, bardzo mnie poruszyła jego opowieść, to było na jesieni, powiedziałem, że zastanowię się nad tym, on w zimie wielokrotnie do mnie dzwonił, odbyliśmy między Warszawą a Lubeką wielogodzinne rozmowy, on mnie przekonywał, prosił, żebym spróbował chociaż z jedną grafiką popracować. Zgodziłem się, ale wiedziałem, że to będzie bardzo trudne zadanie. Wysłał mi jedną grafikę, starałem się z nią zaprzyjaźniać, trwało to dość długo, zastanawiałem się, czy się tego podejmę, czy to jest w ogóle możliwe. I któregoś dnia, po jednej rozmów z Józefem, powiedziałem, żeby mi wysłał te wszystkie grafiki. Ponieważ też mam syna, wyobraziłem sobie przez moment, że mogę być na jego miejscu; on w tak sugestywny sposób przekazał mi swoją opowieść i tak mną wstrząsnął, że identyfikując się z nim stwierdziłem, że muszę to zrobić dla niego. Dlatego nie nazywam tego projektem, to było tworzenie wzajemnej wymiany myśli, wymiany emocji, a przede wszystkim praca nad jego pamięcią, nieomalże psychoterapia, czy jego autoterapia. Jak przyjechały do mnie te grafiki, to pierwszego dnia byłem załamany, że nie jestem w stanie z tego wiele wycisnąć oprócz takich klasycznych zdjęć, ale chodziłem nad tym, chodziłem, myślałem o synu Józefa, myślałem o moim synu i wreszcie zaskoczyło. Wpadłem na pewien pomysł fotografowania tych grafik, zacząłem robić zdjęcia i jednocześnie starałem się przyporządkować je poszczególnym wierszom.>>

Jacek Jędrzejczak



Był uszczęśliwiony, widziałem, że u niego następuje jakieś oswobodzenie, że coraz bardziej akceptuje to, co się stało, że to straszne wydarzenie jest wspomnieniem.

W zeszłym roku wpadłem na pomysł, żeby nakręcić film, pomyślałem, że można by ten nasz proces poznawania się z Józefem, wymiany emocji, jego tragedii, porządkowania jego pamięci, ale też mój stosunek do mojego syna, pokazać innym. Dzwonił do mnie parę dni temu, mówił, że poznał pewną rodzinę, syna z ojcem, ojciec właśnie umiera, i po obejrzeniu tego – brzmi to bardzo kiczowato: pogodzili się. Można powiedzieć, że ta nasza, trudno powiedzieć „praca”, bo praca wiąże się z zadaniem, a tu nie było żadnego zadania, to były nasze wspólne przeżycia – działa też na inne osoby.

Każdy człowiek łapie się na tym, że chciałby zostawić jakiś ślad po sobie. Tysiące lat – to jest taki horyzont czasowy, który możemy określić, ale z drugiej strony, jak posłucha się naukowców, którzy rozważają, co było miliony lat przed nami, to wydaje się śmieszne to, że człowiek zostawi ślad po sobie na tysiąc lat. Żalosne i śmieszne. Każdy chciałby zostawić po sobie coś, nie tylko w postaci potomstwa, ale czy to jest w ogóle możliwe... 



Widziałam dziś dziwne rzeczy, choć niby zwyczajne. Pies był przywiązany do starego volvo przed domem partii, śmieszny staruszek dreptał małymi kroczkami po rondzie Waszyngtona, na Francuskiej kobieta płakała za kierownicą samochodu.

Ja płakałam – pamiętam – na wystawie Billa Violi. Gdyby starożytni umieli robić filmy, wyglądałyby właśnie tak. Patos spowodowany jest przez spowolnienie. Każdy gest trwa tak długo, że zaczynasz mieć wyrzuty sumienia. Może dlatego tak ciężko przeżyłam śmierć ojca, bo umierał długo, choć niby tylko pół roku.

Chciałabym tu napisać, że jest wiele pytań, na które chętnie znalazłabym odpowiedź, ale nie pamiętam, jakie to pytania. Zastanawiam się tylko, jaki byłby teraz, czy lubiłby bawić się z dziećmi, czy siadaliby w jednym pokoju z moim mężem oddając się znanej tylko mężczyznom rozrywce wspólnego milczenia.

* * *

Zaczęłam zwracać szczególną uwagę na dziwne drobiazgi po tym, jak mając lat 18 o mały włos nie zginęłam w wypadku samochodowym. Było to w Górach Skalistych, w Kanadzie. Pękła stara, łysa opona, moja również 18-letnia, niezbyt doświadczona jako kierowca, koleżanka Basia zahamowała, auto wyleciało z trasy, zrobiło cztery obroty, ze mną w środku, pozostałe trzy pasażerki wypadły wybijając sobą szyby. Szok, rozwalona noga (do dziś niezbyt sprawna), siny ślad po zbawiennym pasie odcisnięty na ciele przez parę tygodni, kilka miesięcy bezsenności. Ale najpierw zadziwiające uczucie poddania się losowi, rzeczywiście zaburzona percepcja czasu podczas samego zdarzenia, tak jak opisują to w książkach, przerażający obraz nieprzytomnej Baški (reanimacja, parę dni na OIOMie, amnezja, rok z życiorysu), absurdalny widok jej matki, konserwatorki sztuki, leżącej w trawie i powtarzającej tytuł obrazu Dudy Gracza: „Hamlet polny, hamlet polny”... Trzecia pasażerka, której właściwie nie znałam, z głową zalaną krwią, biegająca po polu w przerażeniu, że straciła oko. To wtedy zauważyłam masę nieistotnych szczegółów. Pole było dość dokładnie zryte przez nasz samochód, stary peugot ojca Baški, ex-jezuity, następnie pracującego przy odwiertach ropy naftowej gdzieś na morzu, a w chwili wypadku, jak na ironię, dealera peugota. Pole to było pokryte nieistotnymi przedmiotami: bułki, parasolki, chustki do nosa, buty, które siła odśrodkowa zdarła nam ze stóp, bilety... (tylko kupon loterii kupiony chwilę wcześniej na stacji benzynowej gdzieś uleciał). Miałam wrażenie, że te drobne ślady, wspomnienia naszej spokojnej egzystencji sprzed paru minut będą ze mną już na zawsze. Podobnie jak do końca będę w swoistej komunii z tymi trzema kobietami, z których jednej imienia nie pamiętam, drugiej więcej nie widziałam, wiem tylko, że zrezygnowała z kariery tancerki na rzecz pielęgniarki i zmieniła orientację seksualną, a trzecią niedawno znalazłam w necie jako zagorzałą fankę radia Maryja, piszącą oszalałe paszkwile.

Zagrożenie życia postawiło mnie do pionu. A gdy tylko zaczęłam troszkę się osuwać, po pięciu latach, mój ojciec nagle źle się poczuł w Wielkanoc i pół roku później nie żył, chudszy o 50 kilogramów. Nie miałam z nim szczególnie ciepłych stosunków, był jednym z tych wiecznie nieobecnych, stale podróżujących służbowo ojców, a nawet kiedy był w domu, mało się odzywał, po pracy lubił siedzieć w fotelu z zamkniętymi oczami i myśleć, wstawał o 5 rano, >>

Klara Kopcińska

memo



gdy spałam w najlepsze, a chodził spać o 10 wieczorem, gdy się rozkręcałam. Kiedy miałam 16 lat, mama wystąpiła o rozwód i tata zamieszkał osobno, znów dużo wyjeżdżał, nie byłam pewna, czy wie, ile mam lat, jaki mam kolor włosów, do jakiej szkoły chodzę, a później, co studiuję. Przywoził z tych podróży mi, nieco punkowej, odzianej na czarno, białe mokasyny. Raz próbował mnie zabrać do kina i raz do teatru i w obu przypadkach odwołano seanse. Kiedy zachorował, siedzieliśmy obok siebie w ciszy. Albo słuchaliśmy Karela Gotta, bo ojciec, syn działacza polonijnego z Zaolzia, tęsknił za językiem czeskim.

Na pogrzeb przyszło dobrze ponad dwieście osób. – „Pani wygląda dokładnie tak, jak tata opowiadał” – mówili składając kondolencje. – „Dalej pani studiuje filologię klasyczną?” – „Tyle o pani mówił”. – „Poznałem panią ze zdjęć, które pokazywał”...

I tak właściwie za każdym razem, gdy pokorę zaczynała tłumić pycha, nowe wydarzenie waliło mnie pałą po głowie, czasem krzycząc przeraźliwie, a czasem tylko patrząc wymownie. Najbardziej dewastującym przykładem była śmierć Daniela. Dziwnym zbiegiem okoliczności pracowałam jako współscenarzystka pewnego młodzieżowego teleturnieju na licencji MTV. Wraz z drugim autorem tekstów Adamem staraliśmy się bardzo trzymać jakiś taki poziom, nawiązując do kabaretu Starszych Panów, poezji i szeroko rozumianej kultury. Obejrzałam jeden odcinek w telewizji i więcej nie powtórzyłam tego błędu, taki był tam harmider i sraczka wizualna; nasze wysiłki szły całkowicie na marne. Tym niemniej mieliśmy sporo zabawy pisząc te scenariusze, a w pewnej chwili poczuliśmy wręcz moc nadludzka, oto bowiem, o czym nie napisalibyśmy odcinka, miał on rodzaj kontynuacji w rzeczywistości. Na przykład, robimy odcinek podwodny – bach: powódź, Wrocław pod wodą. Robimy o dworze królewskim, bach: księżna Diana ginie w wypadku. Stan nasz był słodko-gorzki, bo wydarzenia ponure, ale w sumie odległe i abstrakcyjne, a anegdota do opowiadania przednia. No i wtedy nadeszła kolejna lekcja pokory. Jednym z czterech prowadzących był Daniel, przeuroczy gość, pół Polak, pół Szwed, ze śmiesznym akcentem, jego rolą było pomaganie uczestnikom w wykonywaniu zadań konkursowych. Trzeba go było, zależnie od sytuacji, malować, przebierać, związywać, prowadzić z nim konwersację... I tak pewnego dnia wymyślił odcinek medyczny, w którym jedna z uczestniczek miała za zadanie Daniela reanimować. Wkrótce potem Daniel wyjechał z przyjaciółmi nad morze, wracając spał na tylnym siedzeniu, mieli wypadek, nikt nie zatrzymał się, żeby im pomóc, nikt Daniela nie reanimował, Daniel zmarł. Miał 26 lat.

Wspólnota pamięci. Tak sobie nazywam zbiór pamiętających o kimś, albo o czymś. Jeśli chodzi o długość trwania wspólnoty, to spore osiągnięcia ma Homer, jeśli o liczebność, to nieźle sobie radzą synowie bogów i prorocy; kobiety i dzieci bardziej epizodycznie są pamiętane, a znowuż z innych gatunków dodo jakoś daje radę, a na przykład już moa czy reliktovec mały przeszły raczej bez echa.

I tak ziarno do ziarnka, wzięłam się za pamiętanie. Nigdy nie zrobiłam ojcu porządnej tablicy na grobie, ale wiem, co powinno być na niej napisane: negocjator, wynalazca, poliglota, złota rączka, miłośnik natury i motoryzacji, ojciec. > >



Resztę muszę pamiętać ja.

Muszę też pamiętać moją babcię Wandę (rocznik 1903), która o 7 rano miała już w uszach kolczyki z perłami, była prawdziwą damą i zarazem bezwzględny generałem, ale potrafiła w zabawie pokazać goły tyłek, a gdy ciskałam się w stresie, powiedzieć: „Klariusiu, niech Ci to wisi”. Muszę pamiętać kuzyna Janusza, lekarza, zmarłego w wieku 30 lat na dyżurze na czwarty zawał, gdy kolega w dobrej wierze podał mu morfinę. Ciotkę Zofię, która w drodze do kaplicy wpadła pod tramwaj tego samego dnia, kiedy była u nas na obiedzie. Muszę pamiętać Olę, koleżankę mojego syna, która zginęła w wypadku samochodowym, gdy jej matka odwróciła się do młodszej córki i wypadła z trasy. I Daniele, męża mojej włoskiej koleżanki, który zabił się na motorze jadąc do szpitala, gdzie rodziło mu się dziecko. I wujka Genka, który obiecał zadzwonić, jak wróci po operacji, ale już nie wrócił. Ciocię Myszkę, która wysyłała mi listy po sznurku jak w „Dzieciach z Bullerbyn”, kiedy byłam mała i chorowałam, a sama później leżała kilka lat w łóżku nigdy nie tracąc z twarzy uśmiechu.

Jestem jednoosobową już wspólnotą pamięci (było nas cztery, ale dwie zmarły, a jedna zapomniała) dwóch piskląt kraski, które znalazłam jako dziecko i wykarmiłam, ale potem pomagałam im w nauce latania i najwyraźniej przetrenowałam. Muszę pamiętać tego gołębia, którego czaszkę znalazłam na Placu Trzech Krzyży w jakimś 1987 i moją sukę Kińcię, która umiała skakać przez ławki w parku i była jak ja alergiczka. Łajkę, która poleciała w kosmos i miliardy niemych męczenników naszego stołu. 24000 ludzi, którzy umierają codziennie z głodu, i jeden gatunek zwierząt znikający każdego dnia.

Dokonam też pewnego coming-outu, przyznając się, że, kiedy spadł tupolew w Smoleńsku, grałam akurat w Restaurant City na Facebooku i zaprzestałam oddawania się tej rozrywce, jako forma pamięci o tych, co zginęli. Zarzucenie złych nawyków wydaje mi się na tle tego, co się dzieje, nienajgorszym sposobem uczczenia zmarłych.

Mam wreszcie wrażenie, że muszę pamiętać „Dżumę” Camusa, bo nikt już dziś nie czyta lektur szkolnych, i Themersonów, którym zawdzięczam w dużej mierze to, kim jestem, i Franka Zappę, który śpiewał „Shut up and play yer guitar”, a w jednym z ostatnich wywiadów przed śmiercią, mówił, że nie jest ważne, jak będzie pamiętany. Kiedy usłyszałam to po raz pierwszy, miałam wrażenie, że to rodzaj pozy, bo przecież każdy chce być *jakoś* pamiętany, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej dociera do mnie, że Zappa miał rację. Jakie ma znaczenie, jak będziemy pamiętani po śmierci przez pewne skomplikowane formy życia, a w gruncie rzeczy – kolejne jętki na małej kulce krążącej wokół gwiazdy, która i tak kiedyś zgaśnie. Ale to, że trzeba żyć tak, jakbyśmy mieli być pamiętani całą wieczność przez nieśmiertelne istoty, to już zupełnie inna sprawa. Zupełnie inna. „Shut up and play yer guitar”.

* * *

A wracając do ojca, w miesiąc po drugiej operacji, której przebiegu i wyniku lekarz nie ośmielił się mu objawić, postanowił pojechać na wakacje. Po nieudanej próbie wyprowadzenia samochodu z garażu zarzucił początkowy pomysł prowadzenia samemu. Kazał mi jednak zdjąć z antresoli wędkę, wyprać dres i odprasować kilka koszulek polo. > >



Zaczął ćwiczyć „zbieranie grzybów” – dwa, trzy skłony, czy też przysiady wywołujące zadyszkę i mdłości. Zarezerwował pokój nad jeziorem dla siebie, swej nowej pani i jej matki, wreszcie umówił kolegę z pracy, który w niedzielę miał ich odtransportować na miejsce. Przyszłam do niego tego ranka dopakować ostatnie drobiazgi. Był w znakomitym humorze. „Wyprowadzam pieska na spacer” – żartował opróżniając plastikową butelkę po soli fizjologicznej, do której długą rurką wychodzącą z brzucha odprowadzany był nadmiar nie wykorzystywanej od tygodni żółci. Obiecałam kupić ocet do grzybków, pomachałam mu na pożegnanie, zamknęłam drzwi od garażu i czym prędzej pobiegłam na dworzec kolejki podmiejskiej. Byłam zmęczona. Chciałam przez parę dni nie myśleć o swoim ojcu. Codziennie od kilku tygodni odbywałam tę samą, trwającą niemal godzinę podróż do szpitala, tłukąc się po ostatniej przesiadce w upale autobusem linii 169, do którego wsiadałam na Targowej, a który włókł się ciężko obok bródnowskiego cmentarza i PGR-u, by wreszcie sapiąc przeciągle zatrzymać się koło szpitalnego kombinatu. Autobusem jeździły kurwy, starcy odwiedzający groby bliskich i oczekujący rychłego z nimi spotkania, smutne kobiety z żywnością dla krewnych w szpitalu. Miałam wrażenie, że wokół mnie ludzie poczynają się, rodzą i umierają na okaleczonych i lepiących się z brudu siedzeniach z czerwonej dermy, na zabłoconej podłodze wydzielającej ostry zapach pijackich szczyn. Od kilku dni jeździłam już znacznie spokojniejszą trasą, do mieszkania ojca, wioząc w siatce kawałek gotowanego kurczaka albo odtłuszczonego rosółu, który zwykle nalewałam na talerz, a potem w stanie niemal nienaruszonym wylewałam do sedesu.

A teraz ojciec wyjechał i chciałam być przez chwilę od tego daleko. Tego popołudnia spacerowałam po lesie, objadałam się lekko już fermentującym drugim rzutem truskawek, w nocy kochałam się z chłopakiem w drewnianej chałupie na łóżku pełnym psich kłaków, które włożyły nam do oczu i nosa wywołując u mnie niepohamowane ataki kichania, a rano zadzwonił dzwonek u furtki. Odstawiłam kubek z kawą i pojechałam do zakładu pogrzebowego, by wynająć samochód, obstalować trumnę, zamówić nekrologi i w milczącym towarzystwie pana Jacka, karawaniarza, wyruszyłam odebrać ciało ojca ze szpitala położonego gdzieś wśród lasów nad jeziorem. Żałowałam zarwanej nocy i niedopitej kawy. Siłą woli patrzyłam na monotonnie wyboistą drogę.

Był upalny pierwszy września, zaczynał się rok szkolny. Mijaliśmy po drodze biało-czarne i biało-granatowe grupki dzieci, rozgadanych, ogorzałych, z plastrami na podrapanych kolanach i łokciach. W pewnej chwili pan Jacek pomylił trasę i nagle okazało się, że błędząc gnamy karawanem przez poligon, a na wprost nas ławą prują czołgi.

Przyjaciółkę ojca, wcale nie typ wampa, jak się spodziewałam, grubawą pięćdziesięcioletnią księżową, zastałam roztrzęsioną i opuchniętą, w stanie szoku spowodowanego tak ową niespodziewaną śmiercią jak i utratą ostatniej bowiem szansy małżeństwa. „Miał taki apetyt, wieczorem wypił mleczko” — mówiła, jak gdyby chodziło o dziecko albo kota. Drewniany budynek z laubzegowym ornamentem nad wejściem, wyglądał raczej na przyjazne choć zaniedbane sanatorium niż na powiatowy szpital z salami operacyjnymi i teatrem anatomicznym. Posłano mnie do przyległego, podobnego do baraku domu, gdzie w małej, może sześciometrowej izdebce na pierwszym piętrze, > >



w zrobionym z gazet barlogu, między brudnymi koszulami i kawałkami chleba znalazłam niedorozwiniętego, jękającego się mężczyznę, który miał zaprowadzić mnie do kostnicy. Z chłodnej i wilgotnej szafy wytoczył żelazne łóżko, na którym leżały zwłoki ojca ubrane w wizytowy czarny garnitur. Mięsisty węzeł krawata, resztki zszarzałych włosów zaczesane w głupkowaty przedziałek, ręce złożone na piersi tak, by dyskretnie ukryć zniekształconą prawą dłoń. Jąkała był dumny ze swego dzieła, chyba nawet uszminkował mu usta. „Bardzo ładnie” – powiedziałam, patrząc jak z pomocą karawaniarza przekłada trzydziestokilowe ciało do błyszczącej tanim lakierem trumny. Nie zaprotestowałam nawet, gdy zaczął z niej wykladać tandetną nylonową koronkę. Poprawił jeszcze włosy, wygładził jakąś niewielką fałdkę na koszuli. Przeszło mi przez myśl, że poprzedniej nocy współżył z tym ciałem na owym żelaznym łóżku, z którego je teraz zdejmowali, albo wcześniej w którymś z kamiennych koryt służących do mycia zwłok. Nie uważałam tego za profanację. Co temu wyniszczonemu ciału o przerośniętych, zrakowaciałych wnętrznościach, temu ciału, z którego odprowadzano żółć rurką wychodzącą przez otwór w boku, temu ciału zwracającemu uparcie najdrobniejszą ilość pokarmu, temu nieruchomemu, zredukowanemu do granic możliwości szczątkowi, mogło zaszkodzić parę kropeł spermy ułomnego Kaspara Hausera, przed którym nikt żywy nie rozłożyłby ud ani nie rozwarł pośladków. Nie miałabym do niego żalu. Kochał swoje trupy.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się z panem Jackiem w przydrożnej gospodzie i przerywając ojcu tę ostatnią podróż poszliśmy zjeść po tłustym schabowym za jego pożyłką, zagłodzoną duszę. ■



Wszystko, co robię w moim życiu zawodowym, wiąże się z pamięcią i staram się tę pamięć twórczo wykorzystać. Moim podstawowym zajęciem jest krytyka muzyczna i w tej dziedzinie różnię się od moich kolegów po fachu, bo nigdy nie robię notatek, nawet jeśli jadę na dwu, trzytygodniowy festiwal. Wracam potem do domu i piszę tylko o tym, co zapamiętałam, wychodząc z założenia, że to, czego nie zapamiętałam, nie jest warte wzmianki. Podobnie podchodzę do ludzi, podobnie podchodzę do podróży, do uczenia się czegośkolwiek, staram się, żeby pamięć, moja osobnicza pamięć, była rusztowaniem, w którym zwornikami będą elementy najistotniejsze, najbardziej wyraziste, natomiast całą resztę mogę sobie sprawdzić, dopowiedzieć, wyobrazić. I wcale nie uważam, żeby ten rodzaj manipulowania pamięcią fałszował przeszłość, wręcz przeciwnie, wydaje mi się że zapamiętywanie zbyt wielu szczegółów, fotograficznie, i próba oddania ich wszystkich w porządku chronologicznym, w porządku jakościowym, tak naprawdę zaciemnia obraz i jest trochę podobna do pamięci fotograficznej dziecka autystycznego, które nie potrafi wyodrębnić szczegółów mniej i bardziej istotnych.

W tej chwili piszę książkę o Afganistanie, książkę, która dla mnie samej jest eksperymentem, dlatego, że nie będzie to ani literatura podróżnicza ani literatura faktu, ani też literatura piękna w dosłownym tego słowa znaczeniu. Raczej staram się wzorować na angielskich twórcach travelogue'ów z przełomu XIX i XX wieku, czyli czymś w rodzaju zapisków erudycyjnych, w których równie ważna jest pamięć, wrażenia ulotne autora, jak i zgromadzona przez całe życie wiedza. I to wszystko staram się ubrać w sfabularyzowaną formę, która tym bardziej będzie oddawała dynamikę moich wspomnień. Bardzo bym chciała, żeby ta książka była przede wszystkim impresją, bardzo subiektywnym zapisem tego, co na mnie zrobiło tam największe wrażenie i co wcale nie wpisuje się w tak zwany poprawnie polityczny obraz Afganistanu czy naszych stosunków z Afganistanem, czy w ogóle relacji człowieka zachodu z tak zwanym „innym antropologicznym” – tylko osobistym, indywidualnym obrazem tego, w jaki sposób ze zderzenia kultur może wyniknąć więź. Bardzo istotnym elementem budowania takiego obrazu, takiej narracji jest pamięć. I znów pamięć niezapisana, pamięć nawet nieobfotografowana, chociaż przywiozłam z Afganistanu setki zdjęć, ale to, o czym piszę, to są zupełnie inne rzeczy.

Dla mnie bardzo istotnym elementem pamięci są wrażenia pozasemantyczne – zapach, dotyk, barwa, czysto namacalne własności klimatu, piasku pod stopami, tego wszystkiego, z czym się stykałam na co dzień, i co przez swoją inność, przez swoją niezwykłość, zostawiło bardzo silne ślady w mojej pamięci, pamięci długoterminowej. I w tej chwili, kiedy staram się opisać jakąś anegdotę, wystarczy mi się do tej pamięci długoterminowej odwołać, wyluskać z niej np. obraz sokoła siedzącego w biały dzień w środku miasta, żeby z tego obrazu, intrygującego, zupełnie niecodziennego wyłoniła się cała masa innych anegdot, które temu zdarzeniu towarzyszyły. Taka pamięć pozwala tworzyć narrację trochę jak w filmach postmodernistycznych, narrację, która jest z jednej strony pokawałkowana, z drugiej strony nie musi się składać w linearną całość. Wydaje mi się, że to jest podstawowy błąd ludzi zachodu, którzy próbują tworzyć z pamięci wartość linearną; to jest bardzo zachodni sposób myślenia. Wschód zupełnie inaczej do tego podchodzi, wschód tworzy takie dziwne struktury, z jednej strony poziome, z drugiej strony pionowe, ale przede wszystkim nie zachodzące na siebie. Tam się nic w nic nie rozwija. Tam każda całość się zamyka i tworzy zupełnie odrębną wartość; taką wartością odrębną jest na przykład anegdota czy dowcip. > >



Miałam kiedyś przyjaciółkę, nasze drogi rozeszły się w dosyć dramatyczny sposób, a znałyśmy się praktycznie całe życie, miałyśmy bardzo podobne zainteresowania i przez lata całe spotykałyśmy się z różnymi ludźmi, którym moja przyjaciółka opowiadała ograniczony zasób tych samych anegdot, które ja też znałam. Zawsze oddawałam jej pole, ona prowadziła tę narrację, ja się nie wtrącałam, a jeżeli się wtrącałam, to tylko po to, aby po raz dwudziesty, czterdziesty, setny, poprawić ją, że tutaj się nie mówi „listek”, tylko „liść”, bo tydzień temu mówiła „liść”, w ten sposób nigdy się nie nudziłam i miałam świadomość, że uczestniczę z jednej strony w tworzeniu, z drugiej w pilnowaniu integralności jakiegoś mitu i moja pamięć, moje wspomnienia z podróży, moje wspomnienia z doświadczeń z innymi ludźmi też oblekają się w taki kształt mitu. Tworzy się jakaś anegdota, tworzy się jakiś zapamiętany obraz, a ja potem ten obraz pielęgnuję, staram się, żeby on nie ulegał żadnym modyfikacjom, nawet jeśli nie jest to obraz do końca prawdziwy. I dzięki temu osadzeniu w konkretnym wspomnieniu, mam potem punkt zaczepienia do tworzenia narracji właśnie nie linearnej, ale takich równoległych monad, z których się składa wielobarwna, mieniąca się całość, która moim zdaniem dużo intensywniej oddziałuje na odbiorcę.

Ja się nie sytuuję w pochodzie pokoleń, dlatego, że pochodzę z rodziny o bardzo skomplikowanej przeszłości, którą w dużej mierze próbowano przede mną ukryć. Zresztą skutecznie. Historii swojego ojca właściwie nie znam, a to, co odkryłam, odkryłam po jego śmierci, i mimo że dowody prawdziwości tego, co odkryłam, wydają się bezsporne i niepodważalne, członkowie mojej rodziny mimo to próbują je zdyskredytować. Historia drugiej części mojej rodziny jest trochę lepiej mi znana, ale z drugiej strony jest to historia chłopska, jest to historia niepisana, w której nie ma fotografii, nie ma notatek, nie ma pamiętników, w związku z tym muszę się też opierać na jakiejś tam pamięci epizodycznej członków mojej rodziny. To przez całe życie mi doskwierało i pogłębiało uczucie pustki, jakiejś takiej nieadekwatności mojego życia w tym obszarze. I dlatego przyznam się szczerze, że jako człowiek wspomnień czuję się czymś w rodzaju takiego tasiemca, takiego pasożyta, który próbuje budować własną tożsamość ze strzępów wspomnień, ze strzępów historii innych ludzi. I poniekąd w ten sposób tworzę więzi z innymi ludźmi i z całą pewnością z tego powodu się w niektórych ludzi z nadto angażuję, czasem nawet przekraczam pewne granice. Nie twierdzę, że utożsamiam się z ich wspomnieniami, tego staram się nigdy nie robić, ale odnoszę czasem wrażenie, że ich wspomnienia są dla mnie ważniejsze niż dla nich. I z tych właśnie wspomnień, swoich własnych, których siłą rzeczy muszę mieć więcej, dlatego, że nie mam wspomnień, które odziedziczyłam i ze wspomnień innych ludzi, staram się zbudować własną tożsamość i ją jakoś osadzić w kontekście.

Myślę, że byłabym hipokrytką, gdybym powiedziała, że nie chcę być pamiętana, i sądzę, że każdy z nas mniej lub bardziej o tym marzy, chyba że ma jakieś rzeczywiście bardzo mocne zaburzenia tożsamości, i oglądu siebie samego, natomiast nie chciałabym zostać zapamiętana jako ja, chciałabym być zapamiętana jako analityk, twórca, krytyk, „wspominacz”, opowiadacz losów innych ludzi. To jest dla mnie najważniejsze. Chciałabym być zapamiętana jako coś w rodzaju takiego Homera współczesnego, coś w rodzaju opowiadacza, bajarza, chciałabym być nośnikiem pamięci innych ludzi. ■

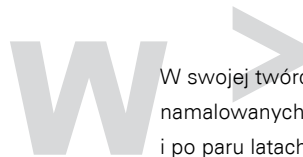












W swojej twórczości zajmuję się raczej widzeniem, ale mam jedną pracę, która zahacza o pamięć, to jest cykl obrazów namalowanych na podstawie zdjęć z prasy, czyli czegoś, co było bardzo „na czasie”, co się wydarzyło, było newsem i po paru latach się postarzało. To jest około czterdziestu małych obrazków pod tytułem „Reality show” i teraz widać wpływ czasu na ważkość tych wydarzeń. Robiłam to także ze względu na pamięć: coś jest nagle na pierwszych stronach jako najważniejsze wiadomości, trzy dni później nikt nic nie pamięta, a często są to wydarzenia albo bardzo tragiczne, albo rzeczywiście zmieniające bieg dziejów, ale mamy sieczkę medialną, informacyjną i to wszystko się w naszych mózgach lasuje. To był mój arbitralny wybór wydarzeń, czy raczej przedstawień pewnych wydarzeń, który akurat mnie poruszył. Myślę, że jak jeszcze to trochę poleży, okaże się, że niektóre rzeczy się powtarzają, tylko w innym wydaniu, w innym miejscu. Mam prace, które są obrazami powodzi, akurat to był zalany Nowy Orlean, a teraz mamy szereg powodzi w różnych miejscach i tak samo to wygląda. Jest też ciekawe, jak spojrzymy na to w aspekcie na przykład śmierci – coraz częściej mamy widoki ofiar, ludzi, którzy zginęli; poniekąd tak ten cykl się zaczął, z powodu mojej niezgody na to, że nagle pokazano ludzi zamordowanych podczas wybuchu terrorystycznego w metrze moskiewskim. Potem była historia z Waldemarem Milewiczem, któremu zresztą poświęciłam ten cykl, bo bardzo mnie poruszyła jego śmierć i to, że zostało to tak wykorzystane jako sensacja. Śmierć też po jakimś czasie przestaje być czymś jednostkowym, to jest bardzo bolesne, że nagle coś, co było bardzo indywidualną tragedią, zaczyna się zacierać i mamy ogólnie „jakieś ofiary”, a nie kogoś, kto miał imię, nazwisko i swoją historię.

Wyda mi się, że moja pamięć jest czymś nieciąglym, to znaczy rzadko kiedy mam jakieś ciągi wspomnień, jakieś całe wątki, częściej to są strzępy wydarzeń, które mi się pojawiają w różnym natężeniu. Jedne rzeczy pamiętam wyraźniej, drugie mniej, oczywiście im dalej w czasie, tym gorzej. I gdybym miała robić pracę, w której w sposób wizualny przedstawiłabym to, co dotyczy mojej pamięci, to chciałabym, żeby to był taki ekran dotykowy, gdzie po dotknięciu jakiegoś miejsca pojawiałyby się fotografie z mojego życia, z różnym natężeniem, z różną mocą, jedne zatarte, inne częściowe, na przykład z tego pamiętam tylko, że podnosiłam coś do ust, albo że nogą wchodziłam do wody, a reszty nie widać, bo reszty nie pamiętam. Tak się wyświetla na ekranie mój mózg. Niektóre rzeczy są jaskrawe, bo pamiętam je bardzo wyraźnie, inne są czarno-białe albo szare, bo pamiętam je kiepsko. Często muzyka jest też dla mnie takim wehikułem pamięci, różne utwory muzyczne przywołują wspomnienia, również tutaj jest różne natężenie. Czyli jakby dotykaniem wydobywamy z tej próżni, jaką jest umysł – ten ekran – jakieś zdarzenia i z tym idzie muzyka. Oczywiście ta praca byłaby trudna technologicznie, ale takie rzeczy już są możliwe, może kiedyś to zrealizuję, może dałoby się w ten sposób przedstawić tę nieciągłość, to, że pamięć jest raczej czymś wirtualnym i holograficznym, a nie linearnym, że owszem życie zdarza się moment po momencie, ale w pamięci to zupełnie inaczej jest zapisane.

Inna praca na temat pamięci mogłaby dotyczyć historii mojej rodziny, myślę, że najlepiej by to wypadło w postaci filmu dokumentalnego, taki film nigdy nie powstał, a szkoda, bo jest to historia podobna dla wielu tysięcy Polaków, gdzieś to zaczyna umykać i można by się pokusić o utrwalenie tego. >>

Joanna Krzysztoń



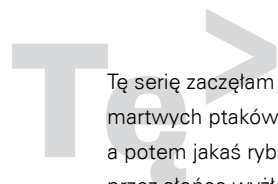
Moja rodzina zarówno ze strony ojca jak i ze strony matki praktycznie straciła w czasie wojny wszystko, dotyczy to też pamiątek rodzinnych, i tego, co zazwyczaj w rodzinach jest od pokoleń, czyli jakichś drobnych przedmiotów, obiektów pamiątkowych, jakichś dóbr materialnych. Zawsze mi tego brakowało, ponieważ wszystko zostało przez wojnę przemielone w proch i zostało głównie poza granicami Polski.

Po śmierci mojego ojca, Jerzego Krzysztonia, mama wyszła drugi raz za mąż, za jednego z jego najbliższych przyjaciół, z którym łączyła ojca historia wojenna przede wszystkim. W ten sposób do mojej rodziny po latach trafił jeden jedyny przedmiot zachowany sprzed wojny, który można powiedzieć jest drobną pamiątką rodzinną, jest to mała buteleczka, o której wiem bardzo niewiele poza tym, że należała do matki mojego ojczyzna Leszka Beldowskiego, do pani Janiny Beldowskiej. To wiem na pewno. Mój ojciec po wojnie mieszkał w Anglii, nie chciał wrócić do Polski, był cały czas uchodźcą, przechowywał to coś u siebie. Kiedy umarł, postanowiłam to zabrać jako jedną z nielicznych rzeczy, które wróciły do rodziny.

„Doktora Sztenzla wschodnia pasta piękności”, pytanie, dlaczego „wschodnia”, rozumiem, że wschód jest synonimem rewelacyjnej cery, alabastrowej. W środku jest zawartość, o której też nic nie wiem, nawet miałam pomysł, żeby dać to do zbadania jakiemuś chemikowi, co to może być, to jest bezwonne w tej chwili, jest gęste i takie białawe, opakowanie jest trochę art deco, lata 20.

Historia była taka, że ta buteleczka, ta maść pojechała razem z panią Beldowską w trasę, że się tak wyrażę, która to trasa była dosyć tragiczna. Podróż pasty piękności doktora Sztenzla zaczyna się w Horodence w 1939 roku, potem podróżuje do Kazachstanu do kolchozu Kidaj-Berlik nad Irtyszem, znad Irtyżu do Teheranu, do Persji, następnie do obozu Valivade koło Kolhapuru w Indiach, gdzie jest pięć lat, aż do 1947 roku (akurat Leszek Beldowski i mój ojciec znaleźli się w tym samym obozie, gdzie przyjął ich maharadża i parę tysięcy Polaków mogło przetrwać), a potem wsiada na statek i płynie do Szkocji, dalej ze Szkocji jedzie do Leicester, które się znajduje w „Midlandach”, tam zostaje na dłuższy czas, z pięćdziesiąt lat tam przebywa, i wreszcie, w 2003 roku, wraca do Polski, do Warszawy. Ta rzecz jest dla mnie ważna, bo ona w jakiś dziwny sposób ma ładunek emocjonalny, jest takim „haczykiem nadziei”, powiedziałabym. Na świecie się dzieją straszne rzeczy, trzeba przetrwać w czasie zagłady, zagrożenia, terroru i tak dalej, a kobieta ma przy sobie maść piękności, po prostu się nie poddaje, wklepuje w te zmarszczki i wierzy, że się uda. Absurdalność tego przedmiotu w stosunku do historii, jakiej jest świadkiem, po prostu mnie wzrusza, jest w tym coś ponadczasowego. Idziemy do muzeum egipskiego i widzimy te wszystkie puzderka cudowne, jakieś lusterka, jakąś biżuterię; jeszcze im to wsadzano do grobu, żeby służyło po śmierci... Jest wyrazem jakiejś nadziei, że coś przetrwa, albo że się nie zmienia, albo że piękno zawsze jest ważne, w każdej sytuacji. ■





Tę serię zaczęłam przez przypadek, jak wszystkie inne. Chodziłam bardzo dużo po plaży i było tam dużo pięknych martwych ptaków. Ptaki są piękne, jak są martwe. Było tego dużo, tutaj był niebieski pingwin (pingwin mały), a potem jakaś ryba, tam kości wieloryba. To jest takie nietrwale, taki nietrwały moment, nawet jak już kości są białe, przez słońce wyżłobione i wysuszone. One też znikną, przyjdzie większy sztorm i je zabierze. Pomyślałam, że trzeba zapamiętać, jak to było, zrobić pamiątnik tych zwierząt. Mój mąż mówił: „po co ty to robisz, to jest takie okropne”, ludzie mówili „ja nie lubię śmierci”, ale to nie chodzi o to. Tylko, żeby zatrzymać ten wizerunek, zatrzymać czas w pewnym sensie.

Wszystko, co robię, jest pamiątnikiem. Wszystkie serie. „Worldwatching” to jest pamięć miejsc, które trzeba zatrzymać w czasie, bo pewnie ich nie będzie. Nawet portrety – czasami robię portrety tej samej osoby na przestrzeni lat. Jako dziecko często byłam chora i mama mi zawsze dawała albumy do oglądania, mamy, babci, może stąd to się wzięło.

Wszyscy chcą być jakoś pamiętani, ja robię autoportrety, więc podejrzewam, że też chcę być pamiętana. Jeśli chodzi o „Worldwatching” to się zaczęło bardzo dawno, w 1992 roku chyba pierwsze zdjęcie powstało. Po studiach fotograficznych w Auckland wiedziałam, że bardzo dobrze jest wsadzić człowieka gdzieś w krajobraz, żeby była skala, więc zastosowałam się bardzo pilnie do tych lekcji parę miesięcy po dyplomie i zaczęłam wstawiać różnych ludzi w krajobrazy. Ale to jakoś było nie tak, zaczynałam się z tym czuć jak turysta, a ja przecież czułam się coraz bardziej jak jedno z naturą, jak kawałek kamienia. I stwierdziłam, że najlepiej by było robić autoportret w tym pejzażu. Zrobiłam tysiące zdjęć przez lata do tej serii i właściwie pamiętam wszystkie miejsca, w których postawiłam siebie jako tę skalę do wielkiego krajobrazu – dokładnie pamiętam każde miejsce. ■

Wanda Michalak



















Pinhole camera 0.5/180

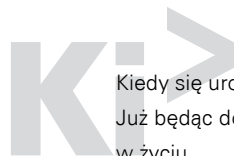
1/30

НІТОРА НОНОТКА '99



Pinhole camera 0.5/180

НІТОРА НОНОТКА '90



Kiedy się urodziłem, to nie ulega wątpliwości, w każdym razie dla mnie – coś zobaczyłem, zobaczyłem światło. Już będąc dorosłym, chciałem to światło sobie przypomnieć, przypomnieć obraz, jaki zobaczyłem po raz pierwszy w życiu.

Tak się złożyło, że cały czas mieszkałem w tym samym wnętrzu, tam gdzie się urodziłem – kiedyś ludzie się rodzili w mieszkaniach, nie tak jak teraz, w obcych miejscach. Postanowiłem wykorzystać do tego bardzo proste, prymitywne urządzenie optyczne, tak prymitywne, jak oko noworodka, czyli kamerę otworkową i znalazłem się z tą kamerą w tym wnętrzu, ustawiłem ją w różnych punktach i zrobiłem zdjęcia. Wywołałem i wtedy to poruszyło moją pamięć, zacząłem sobie przypominać różne wydarzenia; mam wrażenie, że odtworzyłem moment, kiedy z całkowitego spokoju znalazłem się nagle oślepiony przez światło w obcym miejscu.

Pamięć jest najważniejszą rzeczą w mojej pracy, zajmuję się fotografią; fotografia, jak niektórzy mówią, jest protezą pamięci. Dla mnie nie, dla mnie jest czynnikiem, który indukuje pamięć, który powoduje, że pewne fakty stają się punktami na mapie mojej pamięci. Punktami orientacyjnymi, które pozwalają mi zbudować cały ciąg narracyjny. Jest jeszcze coś takiego jak pamięć międzypokoleniowa, pamięć genów, pamięć zmysłów, przenoszona z pokolenia na pokolenie. Moja babcia była Finką, a prababcia pochodziła z Laponii. Samowie, bo tak się nazywają, mają taki swój specyficzny rodzaj pieśni bez słów i kiedy usłyszałem to kiedyś, doznałem jakiegoś olśnienia, jakiegoś poruszenia. Przypuszczam, że poprzez pamięć genową przypominałem sobie pieśń mojej prababci.

Jestem częścią tego pochodu, który jest w ciągłym marszu, pewnie ja też zawędruję w jakieś inne miejsce... Czy będę pamiętany? Ja przede wszystkim sam chcę pamiętać siebie później, jeśli będzie jakieś później. ■

Wiktor Nowotka



Graham camera 0.5/180

1/30

MADE IN GERMANY '90



Pinhole camera 0.5/180

2/30

H. J. R. NOWOTKA '89

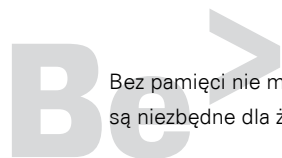


Pinhole camera 0.5/180

1/30

H. J. R. NOWOTKA '90





Bez pamięci nie ma człowieka ani cywilizacji. Pamięć osobista (jako doświadczenie życiowe) oraz pamięć genetyczna są niezbędne dla życia, a precyzyjniej dla przetrwania – osobistego i gatunku.

Natomiast dla przeżycia człowieka i cywilizacji niezbędna jest pamięć medialna – możliwość uwolnienia pamięci od biologicznego bytu jednostki, a tym samym także od miejsca i czasu – możliwość jej odczytania przez kogoś innego w innym miejscu i czasie. Dlatego copyrights (w swym podstawowym rozumieniu ograniczania prawa do powielania, wykorzystywania i kopiowania informacji) są największą zbrodnią przeciwko ludzkości. Jeden z moich projektów – manifest *KopiujProszę/KopyPlease* zajmuje się tą problematyką.

Pamięć, tradycja, historia, sztafeta pokoleń... to niezbędne elementy świadomego bytu, rozwoju i rozumnego postępu. Dla siebie chcę zapamiętać bliskich i moje doświadczenia życiowe. Ocalić chcę świadomość, skąd pochodzę, oraz refleksje, które mogą być przydatne dla innych. W sumie, i osobiście i społecznie, i historycznie pamiętać trzeba na tyle dużo, żeby wykorzystywać doświadczenia poprzedników i unikać już popełnionych błędów, i na tyle mało, aby mieć czas budować przyszłość.

Czuję się i następcą i prekursorem, kolejnym krokiem w łańcuchu, sekwencji. Jak to ujął Themerson, postrzegam siebie jako „być”, czyli jako czasownik – kiedyś mnie nie było, teraz jestem, potem znowu mnie nie będzie. Aspekt pamięci (medialnej) dodaje do tego *memento mori* trochę optymizmu – fizycznie mnie kiedyś nie będzie, ale może przetrwa moja myśl, refleksja, sposób opisu świata, ludzi, czasu. Może pozostawię (dzięki pamięci) trochę większy ślad niż tylko sekwencja DNA.

Chęć bycia pamiętanym jest tak naturalna jak śmierć i strach przed nią. Jest też sposobem przechytrzenia śmierci, jest szansą na nieśmiertelność. Chciałbym być pamiętany w sposób prawdziwy, sprawiedliwy. Pasuje tu cytat z Józefa Mackiewicza: „Tylko prawda jest ciekawa”. Jako główną wadę współczesnych mediów postrzegam możliwość kreowania fałszywych autorytetów i zapominanie o prawdziwych bohaterach.

Pamiętnik, FotoMemory/PhotoMemory/MetaMemory, Portret zbiorowy Polaków, MaszynaPamięci/MemoryMachine, seria filmów *Artyści o sztuce, Wykluczone!..?, KopiujProszę*, to wszystko projekty zajmujące się bezpośrednio pamięcią, głównie przez różne medialne realizacje tego tematu. Ich wspólnym mianownikiem jest m. in. badanie mediów i tworzenie narzędzi, projektów dla praktykowania pamięci i jej udostępniania.

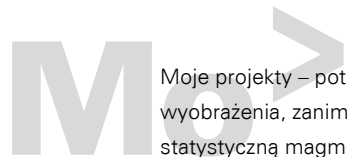
Głównie badam możliwości i dostępność współczesnej techniki zarówno rejestracji, pamiętania, jak i komunikacji. Na przykład, w projekcie *FM/PM/MM*, który realizuję praktycznie od roku 1977, używałem kolejno fotografii analogowej, cyfrowej, komputera, internetu... Staram się badać i rozwijać współczesne narzędzia komunikacji medialnej. Uważam pamięć (medialną) za najważniejszy wyróżnik *homo sapiens*. ■

Józef Żuk Piwkowski





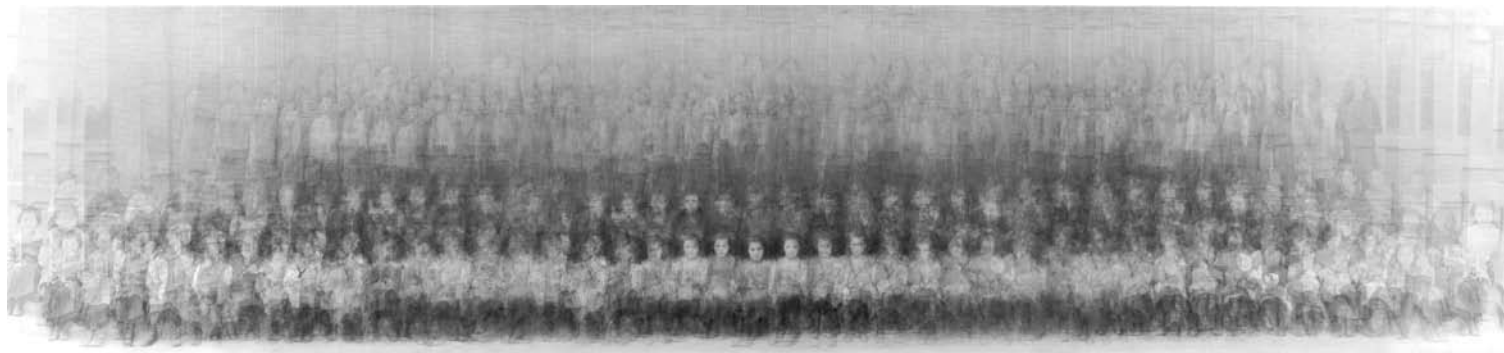




Moje projekty – potem się okazuje, że dotyczą one czasu – zaczynają od tego, że chcę coś sprawdzić, nie mam wyobrażenia, zanim zacznę coś robić, że na przykład, jak połączę fotografie różnych ludzi, to dostanę jakąś taką statystyczną magmę. Chciałem sprawdzić, jak Maciek będzie wyglądał jak będzie starszy, czyli połączyłem nasze zdjęcia rodzinne, żeby zrobić takie zdjęcie uśrednione i to było fajne. Dostyc wątpliwe, czy naprawdę będzie tak wyglądał, natomiast samo połączenie było ciekawe plastycznie i zacząłem szukać zdjęć rodzinnych, najlepiej grupowych i łączyć na przykład wszystkie postaci ze zdjęcia klasowego czy jakiegoś pułku wojska w jedną postać. Te twarze, które powstawały – co ciekawe – były o wiele szlachetniejsze od „wejściowych”, zawsze to było jak zabawa genetyczna – jak się dobrze pomiesza geny, to jakaś ciekawsza kombinacja może się zdarzyć niż ta faktycznie istniejąca – i to trochę była taka zabawa w mieszanie różnych twarzy w jedną postać. Okazało się, że to na osobach oglądających robi duże wrażenie, bo ta twarz staje się jakby pozaczasowa. Dostyc długo robiłem te zdjęcia, efekt jest urzekający – takie tworzenie nowego bytu. Technologicznie to jest dosyc proste, składa się twarze tak, żeby oczy i usta były w tym samym miejscu, mniej więcej tej samej wielkości i to samo powstaje, natomiast bardzo rzadko powstaje coś ciekawego. Chciałem, żeby pojawiła się jakaś nowa jakość, żeby to zaczęło odrywać się od technologii, nabierać swojego własnego życia i dopiero z takimi zdjęciami szedłem dalej. Trochę mnie tylko martwiło to, że one wszystkie mają charakter starych zdjęć z albumu, że to jest takie nostalgiczne, odwołujące się do skończonej chwili, ale to był skutek tego, że dobre jakościowo fotografie dużych grup ludzi, takie pozowane, którymi łatwo operować, są przedwojenne.

Czas jest tematem nas wszystkich, a to pamiętanie jest jednym z elementów czasu i nawet, jeżeli to wychodzi w pracach, to mnie jednak interesuje tworzenie nowego istnienia. Bardzo długo działało na mnie, jak widziałem, że zupełnie różne zdjęcia – dzieci, wąsatych starców, dziewczyn – sfotografowanych kilkadziesiąt temu na jednym zdjęciu wspólnym, rodzinnym czy jakimkolwiek innym – nagle połączone dają trzydziestoletniego całkiem interesującego pana – jak to jest możliwe? Ale wszyscy Polacy to statystycznie jest 35-letni hermafrodyta, na przykład. Specjalnie nic nowego, potem zdałem sobie sprawę, że wiele osób przede mną też wpadło na ten sam pomysł i robiło tego typu zdjęcia, a nawet znajoma pokazała mi w jakimś podręczniku dla psychologów z lat pięćdziesiątych takie uśrednione zdjęcia Europejki, Europejczyka, Azjatki, Azjaty i tak dalej... >>

Grzegorz Rogala



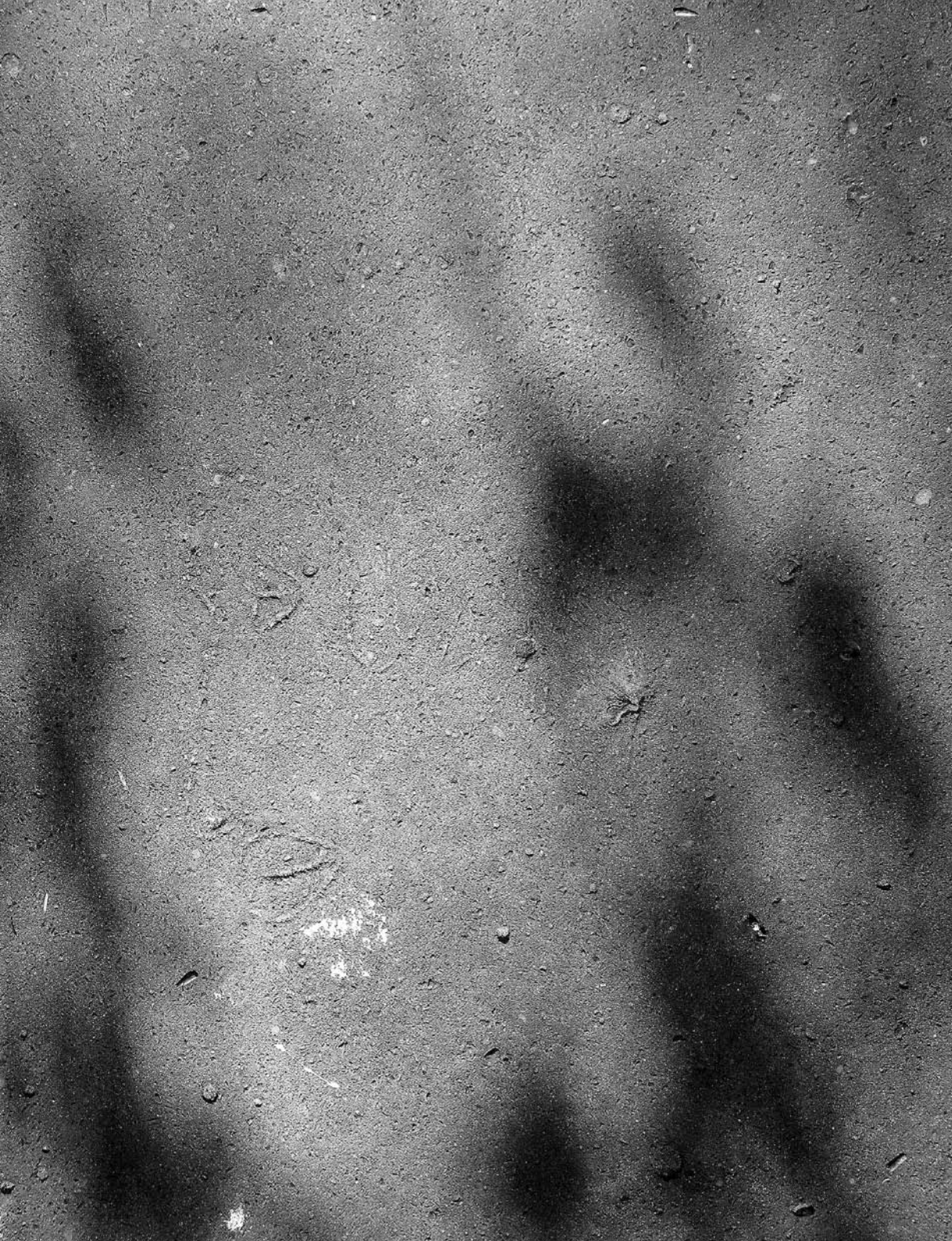


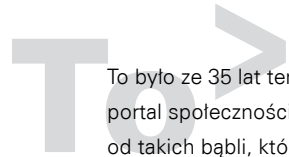
Z pewnej zabawy przeszło to w pewien proces twórczy, żeby to było swoim światem. Zazwyczaj, jak robi się coś, co jest widziane jako praca na temat czasu, to ludzie uważają, że to takie nostalgiczne, albo o przemijaniu albo o trwaniu, czy o śmierci... Czas – no to przemijanie, ale to trochę nie tak.

Nie wiem, co jest warte zapamiętania, różne obrazy zapamiętane mam w głowie, czy piosenki, które są kompletnie od czapy. Z nieznanego powodu od trzydziestu lat pamiętam wierszyk, którego się nauczyłem na rosyjskim, który kompletnie nie ma żadnego znaczenia. Tak mi się wydaje, że nie ma żadnego znaczenia, może w głębokiej historii poza czasem i przestrzenią okazuje się, że ten rosyjski wierszyk jest cholernie istotny. Nosisz takie bzdurki w głowie, nosisz jakieś wspomnienia nie wiadomo z jakiego powodu wryte wyjątkowo mocno. Czasem można się domyśleć dlaczego, na przykład moje pierwsze wspomnienie z wakacji (mogłem mieć trzy lata) dotyczy przejścia przez las w Juracie. Szedłem przez las, w którym drzewa były bardzo wysokie, ale paprocie też były takie jak drzewa, były ogromne, zawsze byłem pod paprociami. Następnego roku paprocie były niższe, a parę lat temu szukałem tego lasu z paprociami i już go nie znalazłem, wszędzie rosły normalne paprocie. I po co to? To jest akurat ładne, ale są takie migawki: rok 1977, wysiadam z pociągu i gdzieś tam leży gazeta na ziemi i to mi zostało w głowie...

Trochę należy dbać o to, co się wkłada do głowy, żeby to się potem nie odbiło czkawką, jak mojemu tacie, który – to już był chyba jego drugi zawał, lekarze go lekko usypiali, żeby ten zawał przeszedł – jak się wybudził już z tej maligny, po paru dniach, to powiedział, że strasznie mecząca była to śpiączka, bo cały czas oglądał wszystkie kryminały, które czytał namiętnie przez długi czas swojego życia i że to przerażające, jak to w głowie zachował i musiał się przez to przez parę dni przedzierać. Trochę jak z jedzeniem – jest potrzebna pewna higiena pamięci, czyli zwracanie uwagi na to, co wchodzi do głowy, chociaż i tak nie wiadomo, co się zapamięta. ■





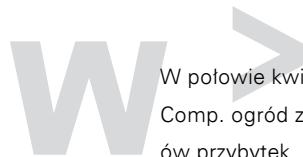


To było ze 35 lat temu, mieliśmy wtedy po może siedem lat, może sześć. Moje podwórko, teraz wymarłe, to był taki portal społecznościowy, tylko na żywo. Tu się koncentrowało całe życie towarzyskie, tutaj wszyscy się spotykali, od takich bąbli, które jeszcze ledwo przebierały nogami, po wyrostków, piętnasto, szesnasto, siedemnastolatków. Oczywiście ci najstarsi nam strasznie imponowali. Wszystko się toczyło wokół tego miejsca, gra w piłkę, w „babingtona”, w kapsle, ale akurat tego dnia było za gorąco, żeby szaleć w piłkę. Upalny letni dzień, taka leniwa atmosfera, wszyscy tutaj siedzieli i nagle pojawiło się dwóch starszych kolegów, więc my zainteresowani, co się będzie działo, przyglądaliśmy się, a oni z młotkiem i takim punktakiem do wybijania dziur w blasze, przystąpili do dzieła. Na początku nie wiedzieliśmy, o co chodzi, ale w trakcie ich prac zauważyliśmy, że zaczął pojawiać się tutaj kowboj. Przypomniałem to sobie, bo to się zrobił taki dziwny miks tego ciepłego dnia, tej temperatury, tego mitu kowbojskiego, który był w tamtych latach dość mocny i tej więzi tutaj z ludźmi – niby nic wielkiego, a zapadło w pamięć, zacząłem szukać tego kowboja i nagle, po długich poszukiwaniach, odnalazł się. Oczywiście to, co ja zapamiętałem, a to co tutaj widać, różni się, ale jest. Na razie nie mam pomysłu, co z nim zrobić, natomiast w jakiś sposób chciałbym go zaznaczyć. Boję się tylko, że wyeksponowanie go może spowodować jego zniszczenie, może lepiej będzie, jeśli on sobie tutaj delikatnie zniknie. Może go ktoś kiedyś zauważy, takie swoiste odkrycie, i będzie się zastanawiał, co to jest, kto to zrobił i skąd to się tu wzięło. Dla kogoś z boku nie ma to pewnie żadnego znaczenia, ale to jest moja pamięć.

Z czasem ewoluuję, piętnaście, dwadzieścia lat temu byłem niesamowicie zafascynowany technologią, czymś nowym, patrzyłem w przyszłość; przeszłość, historia nie bardzo do mnie wtedy przemawiała. To chyba z czasem się pojawia, coś ci się przypomina, chcesz się z czymś rozliczyć, masz jakieś wspomnienia, próbujesz się z tym mierzyć, czasami w sposób mało przemyślany, czasem to jest taki impuls. ■

Wojciech Różyński
kowboj





W połowie kwietnia 1873 roku na ulicy Hożej pod nr 23, założono w Warszawie pod firmą Bartels, Kloss et Comp. ogród zoologiczny. Według opisu Prusa, który jako kronikarz miasta musiał niejako z obowiązku zwiedzić ów przybytek, „składał się on z dwu części, a mianowicie z pewnej liczby pokojów i ogrodu”. „W ogrodzie – relacjonował początkujący wówczas dziennikarz – zauważyliśmy trzech bardzo niespokojnych niedźwiedzi, parę małych lisów, chudego wilka z mocno wystającym językiem, trochę sów i jednego orła. W pokojach stały znowu klatki z wszelkiego rodzaju ptactwem, nie wyłączając papug rozmaitej wielkości, kur i gołębi różnej formy, a nawet, jeśli nas pamięć nie zawodzi, dostrzegliśmy parę ptaków rajszych i kilku naturalnych dudków”.

Wkrótce prasa doniosła, że skradziony został stamtąd „rzadki ptak największego gatunku sowa Puchacz (bubo maximus) wraz z łańcuchem na nodze”; pewnie jakiś miłośnik zwierząt wypuścił męczącego się ptaka na wolność. Innym razem popularna popołudniówka informowała, że jeden z niedźwiedzi Bartelsa zerwał łańcuch i przeskoczył przez płot. „Nastraszył potem solidnie kilka kobiet, a na jednej nawet poszarpał odzienie, aż niejaki pan C., urzędnik magistratu, człek wielkiej odwagi, energicznym postępowaniem zmusił niedźwiedzia do posłuszeństwa, łańcuch z obrozą przypiął na szyi i przymocował zbiega we właściwym mu miejscu”.

Aleida Assmann w jednym z opracowań szczególną uwagę poświęca problemowi miejsca, podkreślając, że pamięć miejsca jest przywiązana do fizycznej przestrzeni. Wskazuje, między innymi, na miejsca, które zawierają ślady po czymś, czego już nie ma.

Na podstawie tych pozostałości trzeba zrekonstruować historię. Brakuje tu ciągłości, która występowała w miejscach pokoleniowych. Istnieje luka, którą trzeba zappełnić.

Projekt zakłada umieszczenie stylizowanego szyldu w miejscu, gdzie istniał wspomniany ogród (obecnie jest to trawnik u zbiegu Hożej i Kruczej), stylizowanej tabliczki informacyjnej z treścią jak wyżej, głośników, z których dobiegać będą dźwięki zwierząt oraz transmisja wizji z kamer umieszczonych w warszawskim zoo.

To mój sposób na wypełnienie takiej właśnie luki, powstałej w pamięci miasta.

Projekt zrealizowany 24 kwietnia 2010 roku. ■

Wojciech Różyński
ogród zoologiczny



Na początku była nuda i odpoczynek od malarstwa olejnego: w swoim mieszkaniu wieczorami wygrzebywałem jakieś zdjęcia przywiezione z podróży do Włoch i Hiszpanii i zacząłem się bawić nimi tworząc kolaże, takie drobne formy, które w stylistyce zaczęły mi przypominać w pewnej chwili osobę mojej babci. W czasie mojego powrotu z Włoch, w 2009 roku we wrześniu, babcia zmarła, ja przyjechałem prosto na pogrzeb. Połączyłem tę sytuację w głowie z tymi kolażami i stwierdziłem, że są one odzwierciedleniem mojego uczucia po tym, jak babcia odeszła, i pomagają mi ją przywrócić znowu do żywych, ją, a także te postaci, które były na każdym ze zdjęć.

Zrodził się pomysł stworzenia „babcinego pokoju”, w którym te kolaże wiszą sobie. Znalazłem odpowiednie miejsce, w podwórku, stoi puste, mogę je wynająć za niewielką kwotę. Chcę wprowadzić też dodatki w postaci audio, postawić katafalk, na którym będzie można się położyć i słuchać dźwięków miasta.

Dzieciństwo moje było, między innymi dzięki babci, bardzo spokojne i takie radosne, błogie. W momencie, w którym babcia odeszła – zresztą za każdym razem, kiedy odchodzili dziadkowie – poczułem zagrożenie i poczułem się bardziej samotny. Ta praca, myślę, będzie pokazywała też trochę samotność, ale nie wiem, czy będzie to moja samotność, czy samotność tej duszy, która odchodzi.

Wybieram zdjęcia, które są stare, albo znalazłem je w opuszczonych mieszkaniach, ratuję je i daję im nowe życie przerabiając. Także meble to są rzeczy, które znalazłem na śmietnikach. Wszystko, co nas otacza, nie ginie – przekształca się, zyskuje nowe życie, tak też jest ze śmieciami, które zmiotłem w tej przestrzeni i teraz je wyrzucę, a one będą sobie dalej żyć gdzieś indziej albo zamienią się w coś innego. Wydaje mi się, że podobnie jest z pamięcią, poprzez to, że możemy sięgać do niej, mamy poczucie, że te osoby, które odeszły, że to, co wspominamy, gdzieś tam jest, znajduje się obok. Daje mi to poczucie bezpieczeństwa.

Wydaje mi się, że to, co robię, będzie miało głównie wpływ na mnie, może dla innych nie będzie to takie istotne, ani moja postawa, ani to, co zrobię. Głównie robię to dla siebie i dla rozliczenia się z przeszłością. Chyba każdy rozlicza się ze sobą, ze swoją pamięcią, jedni robią to bardziej kreatywnie, inni mniej, jedni pokazują to na zewnątrz, inni się z tym kryją.

Zastanawiam się nad tymi swoimi działaniami, wiele z nich zaczynam, potem nie kończę i mam wrażenie, że robię wiele rzeczy naraz, że robię za dużo i zastanawiam się, po co. Czasami przychodzi mi taka myśl, że chciałbym bardzo po sobie coś pozostawić i dzięki temu przetrwać troszkę dłużej. Boję się beczynnego przejścia przez życie i jestem świadomy, że im więcej rzeczy zrobię, to one będą trwały i zostanie też pamięć po mnie. Ale wydaje mi się, że to wszystko, co robię, ma wpływ przede wszystkim na moją osobę, na to, jaki jestem. ■

Jakub Słomkowski











CO ZROBIĆ

- › WEJDŹ DO ŚRODKA
- › ZATRZYMAJ SIĘ
- › STAŃ PRZY PULPICIE
- › POSŁUCHAJ
- › ZAMKNIJ OCZY I PRZYPOMNIJ SOBIE SWOJE DZIECIŃSTWO
(czym pachniało, co je określało, co widzisz i pamiętasz, kiedy wypowiadasz słowo „dzieciństwo”)
- › WCIŚNIJ CZERWONY GUZIK (i trzymaj wciśnięty przez cały czas swojej wypowiedzi)
- › OPOWIADAJ (możesz nie otwierać oczu)

DZIĘKUJE WSZYSTKIM TYM, KTÓRZY POWIERZYLI MI SWOJE WSPOMNIENIA



Kilka lat temu byłam z dziadkami na ich działce, na którą, kiedy byłam mała, często jeździłam. W moim dzieciństwie (i w tamtej chwili) wszystko było tam niezmiennie i trwające – ta sama studnia, stołeczek, grządki, winorośl, ogrodzenie, domek. Byłam wtedy z nimi i pomyślałam, że wszystko w życiu się zmienia i przemija, a ta działka nie. Moi dziadkowie przyjeżdżają tu co roku podczas sezonu. Są tam i trwają wśród tych samych przedmiotów, zastygli w powtarzalności corocznych rytuałów. „Chwilo trwaj, jesteś taka piękna”. I chyba właśnie w tamtej chwili zniszczyłam to wszystko bezpowrotnie. Po tej myśli cały ten świat zaczął się kruszyć i zmieniać. Umarł dziadek, babcia nie mogła pogodzić się z jego śmiercią, sprzedała działkę, po kilku latach sama zmarła. Została tylko moja pamięć związana z tym miejscem, które myślałam – zawsze będzie takie samo, zawsze takie pozostanie. Ta pamięć jest nieprawdopodobnie ważna, jest czymś, co nas kształtuje, do czego możemy się odwoływać i dzięki czemu jesteśmy tym, kim jesteśmy.

Zacząło interesować mnie ocalanie chwil, zapisywanie ich poprzez rysunki, notowanie kamerą, utrwalanie dźwięków. Może robię się coraz bardziej sentymentalna, dostrzegam więcej sytuacji, które bezpowrotnie przeminęły, przypominam sobie różne chwile, ale także staram się wychwytywać te, które jeszcze nie minęły.

W mojej rodzinie zawsze ważne były kobiety. Kiedy byłam mała, spotkania przy rodzinnym stole z mamą, ciocią, babcią były chwilami magii. Wszystkie rodzinne historie krążyły i pobudzały moją wyobraźnię – mimo że nie znałam ani tych osób, ani wydarzeń, o których one mówiły, to wyobrażałam je sobie – żyły w mojej wyobraźni. Kobiety, według mnie, mają dużo więcej tajemnic, opowieści, sytuacji wytworzonych tylko pomiędzy nimi. Ten stan dawał poczucie bezpieczeństwa, ciągłości, nieprzemijalności. Kobiety te jednak, w pewnym momencie, zaczęły odchodzić z mojego życia. Wtedy tym bardziej zaczęłam czuć ich brak i ich wartość.

Nie zastanawiam się nad tym, czy chcę być pamiętana, raczej chciałabym, żeby były pamiętane te sytuacje, czy te sprawy, o których opowiadam. ■

Jaśmina Wójcik

AKME

Dzieciństwo - poczucie bezpieczeństwa tego, że wszystko jest dane na zawsze. Niezachwiana wiara w niezmiennosc, trwałość świata i ludzi.

Otoczenie składające się z najbliższych, kochających osób.

Nic ma się nie zmieniać, a trwać nieprzerwanie i pewnie.

Okres pełnej szczęśliwości.

Poczucie obecności i bliskości rodziny.

Bycie centralnym punktem zainteresowań.

Projekt ma być przewrotną niezgodą na to, co nieuniknione, uznaniem dzieciństwa za coś najlepszego, najwyższego, swoistego szczytu.

Dzieciństwo jako epoka wiecznej szczęśliwości (niedoceniona zawczasu, lecz po czasie).

Określenie tamtego okresu jako szczytu nieświadomego szczęścia, nieskrępowania. Braku trosk, bólu, zła otaczającego świata. Tylko poprzez akceptację ulotności i niepowtarzalności tamtego okresu można zaakceptować i przyjąć świadomą dorosłość.

Jeśli macie Państwo ochotę - możecie także (anonimowo) podzielić się ze mną swoim wspomnieniem dzieciństwa (nagrać swój głos).

Stanie się ono częścią zbiorowego pamiętnika, zapisu i ocalenia każdego poszczególnego dzieciństwa i wszystkich razem.

DZIĘKUJE WSZYSTKIM TYM,
KTÓRZY POWIERZYLI MI SWOJE WSPOMNIENIA

Jaśmina Wójcik

(www.jasminawojcik.pl)

oprogramowanie projektu: Marcin Wichrowski

(www.wichrowski.pl)





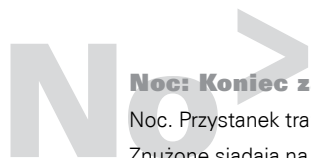




Kilka lat temu realizowaliśmy cykl wydarzeń artystycznych pt. MostART. Chcieliśmy uczłowieczyć warszawskie mosty, budowle uważane powszechnie za nieprzystępne trasy tranzytowe. Rafał Nowakowski zaproponował wówczas, by na dolnym pokładzie Mostu Gdańskiego wystawić adaptację Tybetańskiej Księgi Umarłych. Nie dostaliśmy na to zgody.

Dziś po dłuższym czasie publikujemy scenariusz tego niemożliwego przedsięwzięcia wraz ze zdjęciami mostu powstałymi podczas warsztatów fotograficznych prowadzonych przez Klarę Kopcińską dla Stowarzyszenia SPOZA.

Osoby:
Dwie Siostry
Lalka / Syn
Celebryta
Persona
Mistrzyni Ceremonii
Widownia



Noc: Koniec zabawy

Noc. Przystanek tramwajowy na Moście Gdańskim. Dwie Siostry wchodzi na platformę, ciągnąc za sobą Lalkę. Znużone siadają na ławce. Siostra 1 patrzy na rozkłady jazdy.

SIOSTRA 1: Wszystko już odjechało. Musimy same przejść przez most.

SIOSTRA 2: I po co tu przyszliśmy? Tam była taka fajna zabawa! Teraz żałuję.

SIOSTRA 1: Za późno. Te rozkłady jazdy są już nieważne.

SIOSTRA 2: To są tylko zwykłe kartki papieru. Na nic nie można liczyć... I co teraz robić?

SIOSTRA 1: A tam tyle się dzieło, tyle nowych twarzy się pojawiło! Szkoda, że musiałyśmy już pójść.

SIOSTRA 2: Nie czekajmy tu, chodźmy na drugą stronę. Jak myślisz?

SIOSTRA 1: Nie wiem. Może powinnyśmy wrócić? Może coś jeszcze się wydarzy?

SIOSTRA 2: Poczekajmy tu jeszcze!

SIOSTRA 1: Nie, wróćmy tam!

Dzień 1: Olśnienie

Wówczas obróci się koło Samsary, wszystkie te emanacje będziesz widział jako jaśniejące formy cielesne. Cały przestwór niebios będzie jasnoblękitny i lśniący.

Tybetańska Księga Umarłych

Scenę zalewa oślepiające, błękitne światło. Kurtyna za przystankiem opada i ukazuje się kratownica Mostu. Lalka budzi się pomiędzy Dwoma Siostrami.

LALKA (do siebie): Słucham?! Możesz powtórzyć?!... Nie słyszę cię! Nie widzę cię!... Gdzie jesteś?!... Gdzie ja jestem?... Nie wiem... Przystanek na betonowej platformie, pusta ulica, jarzeniowe światło... Smak samotności... Przedmioty jawią się niczym imitacje prawdziwych rzeczy, rekwizyty na scenie w zimnym świetle reflektora. Zdarzenia tracą związek, zatrzymane w oślepiającym blasku czystej świadomości. Jak uderzenie diamentową pałką. Oślepiający ból. Nie rozumiem, co się dzieje, choć wszystko stało się tak przejrzyste. Widzę to miasto z oddali, jak przez soczewkę, pulsujące w ciemności kolorowe światła... Ludzie zbierający się nad rzeką... Gwiazdy na krystalicznym nocnym niebie... Naiwne nastolatki błądzą po ekskluzywnych ulicach z szeroko otwartymi oczami... Wszystko jest niezwykle piękne, ale zaszła już nieodwracalna zmiana. To już nie jest sztuczny raj materialnego dobrobytu. Nie dla ciebie. Straciłeś wszystko: dziedzictwo przeszłości, otoczkę kultury, bezpieczne rytuały codzienności. Stoisz nagi pośrodku nieznannej przestrzeni. A to jest dopiero początek.

Lalka podrywa się i wybiega na tory tramwajowe. Z ciemności przed nią wyłania się Most. Dwie Siostry podążają za nią. >>

zdjęcia
Anna Fedorczyk
Piotr Meszka
Małgorzata Puczek

Rafał Nowakowski

permutacje przywiązania

**scenariusz niemożliwego
działania teatralnego
w przestrzeni miejskiej**

2006-2012



Dzień 2: Nieznośna bliskość

Z bytującego w siedzibie Zespołu Ciała czystego, białego, połyskliwego światła Wiedzy Zwierciadlanej, z serc Wadźrasattwy i jego Małżonki wystrzeli ku tobie blask, którego twoje oczy nie będą mogły znieść bez cierpienia.

Tybetańska Księga Umarłych

Białe, jasne światło. L a l k a próbuje iść dalej jezdnią Mostu, ale D w i e S i o s t r y powstrzymują ją. Im bardziej L a l k a napiera, tym mocniej D w i e S i o s t r y przywierają do niej. W końcu zaczynają dziwny taniec, który przypomina walkę. Ich ciała układają się w litery archaicznego alfabetu, które odbijają się we wszechobecnych lustrach. Wszyscy troje mówią jednocześnie.

SIOSTRA 1: Spokojnie, kochany, wszystko będzie dobrze, nie martw się... Chodź do mnie...

SIOSTRA 2: Zostań z nami, nie idź jeszcze. Gdzie się spieszysz, mały? Poczekaj jeszcze chwilę... Trzymaj się!...

LALKA: Zimno mi, nie wiem, co się dzieje... Dajcie mi spokój! Nie chcę was widzieć! Zostawcie mnie! Nienawidzę was!... Gdzie jesteś?! Obejmij mnie, proszę... Zimno mi!...

W trakcie tańca-walki, D w i e S i o s t r y rozdzierają skórę L a l k i. Spod niej wyłania się S y n.

SIOSTRA 1: Chodź. Zaczekaj. Puść.

SIOSTRA 2: Weź. Trzymaj. Zostań.

LALKA/SYN: Mam was dość! Zostawcie. Mnie. Jestem. Zaskoczony. Związany, złamany, rozdarty...

S y n wyrwa się z uścisku D w ó c h S i ó s t r. W ich rękach pozostaje skóra L a l k i.

SIOSTRA 2: Gdzie idziesz?

SIOSTRA 1: Zaczekaj!

SYN (do siebie): ...Głowa, słowa, warto, rozpad. Rozpadlina. Inna, zwinna, związana, sylwetka...

S y n idzie w kierunku żółtego światła pulsującego regularnie w ciemności przed nim. > >





PKP cargo

2-854



PKP cargo
GRUPA PKP



CIE ANNOI

MOSTI, KTORE

Dzień 3: Rozjazdy doznań

W stronie południowej, z żółtego Królestwa Chwały ukaże się Budda Ratnasambhawa o ciele żółtej barwy z drogocennym klejnotem w dłoni, siedzący na tronie Rumaka, złączony w uścisku ze swą Małżonką Mamaki.

Tybetańska Księga Umarłych

Żółte, jaskrawe światło. Most zamienia się w pasma autostrady. Po wybuchających estakadach krążą Maszyny Rozkoszy: miękkie, hydrauliczne wehikuly, napędzane zmysłowymi doznaniem. W jednej z nich zamknięty jest S y n. Próbuje przedostać się na drugą stronę Mostu, ale autostrada zawraca spiralnie do punktu wyjścia.

SYN (do siebie): ...Sylwetka. Pośpiech. Jestem. Światło. Jestem. Siła. Patrzę. Góra. Niebiesko. Dół. Zielono...

Pomiędzy wirami autostrady stoi jej właściciel, C e l e b r y t a, w eleganckim ubraniu z emblematami znanych firm: Boss, Adidas, Versace etc. Między nim a autostradą ciągną się aluminiowe barierki, a dalej widoczny jest czerwony dywan, po którym stąpa C e l e b r y t a.

CELEBRYTA: ...Ilekoć tamtędy przechodzę, widzę to coś, niewyraźne i drżące, ciemnoszare ciało, kryjące się przed światem, spoglądam jedynie kątem oka, wolę nie odwracać głowy, obawiam się odstręczającego widoku i przykrej woni, ale wiem, że tam to coś wciąż leży drżąc, może dogorywa, przyczajone i pokorne, zrezygnowane i cierpliwe, przeraża mnie, tak wiele nas dzieli, nic nie mogę zrobić...

SYN (do siebie, mijając C e l e b r y t ę): ...Blask. Dygot. Zielono. Niebiesko. Zielono. Jestem. Szybkość. Dreszcz...

CELEBRYTA: ...podnoszę głowę i widzę nad sobą ogromną kopułę nieba, granatowe, pomarańczowe i fioletowe przestrzenie pochłaniają mnie, jakby moje ciało rozpuszczało się w powietrzu, pomiędzy nimi majestatyczne i ulotne obłoki dryfują poza horyzont, odpływam wraz z nimi, a ze mną płyną te wszystkie obrazy, zdarzenia, wizerunki, nie poznaję siebie, kim jestem?...

SYN (do siebie, mijając C e l e b r y t ę): ...Miętko. Blisko. Szorstko. Ciemno. Gorąco. Zimno. Jasno. Dreszcz...

CELEBRYTA: ...a ona szeptała mi do ucha: „chcę poznać twoje najskrytsze pragnienia”, w czerwonym półmroku, jej oddech pachnący owocami i winem, i czymś jeszcze, straciłem panowanie nad sobą, pobiegłem za jej ulotną aurą i gibkim kształtem, podążałem za jej głosem, zanurzałem się między puszyste zasłony iluzji, zgubiłem się, zatraciłem się w niej, a w końcu ona mnie porzuciła! Słyszycie? Zostawiła mnie! Czy was to w ogóle interesuje?!...

Maszyny Rozkoszy krążą wokół C e l e b r y t y. >>





CELEBRYTA: Zatrzymaj się na chwilę, posłuchaj mnie... Spójrz na mnie!

SYN: Nie rozumiem... Mam swoje problemy. Zgubiłem się.

CELEBRYTA: To ja jestem właścicielem tej autostrady. Ty jej tylko używasz.

SYN: To nie ja. To moja maszyna. To nie moja rozkosz. To moje odruchy. Paliwo się wyczerpuje. Jest zimno. Ciemno.

Przytłaczający hałas. Nie wiem, gdzie się znajduję. To nie jest moja droga. To nie ja. To tylko moja maszyna.

S y n porzuca Maszynę. Znajduje się w nieokreślonej przestrzeni, wypełnionej fragmentami betonowych i metalowych konstrukcji. W półmroku pojawia się odległe czerwone światło.

Dzień 4: W poprzek drogi

...Bytuje on w sferze Zespołu Świadomości, w świetliście czerwonym i jaskrawym blasku Mądrości Rozróżniającej, zdobnej w drobne kolorowe krążki. Jest jasny, świetlisty, lśniący i promienny...

Tybetańska Księga Umarłych

Wyraźne, czerwone światło. Wielki plac pomiędzy piramidami. Na mównicy, w świetle reflektorów stoi P e r s o n a. Kiedy pojawia się S y n, P e r s o n a schodzi z mównicy i wita go z przesadną radością.

PERSONA: Kogo ja widzę?! Własnym oczom nie wierzę! Synu mój, jak dawno cię nie widziałem! I znowu się spotykamy! Co u ciebie słychać? Tyle się wydarzyło...

Zamyśla się. Zanim S y n zdąży odpowiedzieć, P e r s o n a odciąga go na stronę, między przęsła Mostu.

PERSONA: Zawsze chciałem ci to pokazać. Widzisz te pajęczne sieci? Pająk najpierw przeciąga jedną nić, potem prostopadle do niej drugą, trzymając się nitki, którą sam wcześniej wysnuł. A potem przeplata pomiędzy nimi następne, od środka promieniście na zewnątrz. Wyobrażasz to sobie? Struktury w strukturach, nawarstwione, gęste jak faktura życia... Misterna konstrukcja, na której unosi się jej stwórca... Powiązania, silniejsze i słabsze, bliższe i dalsze, proste i zawile...

P e r s o n a prowadzi S y n a do barierki Mostu i wskazuje na płynącą w dole rzekę.

PERSONA (bardziej do siebie, niż do S y n a): Spójrz na tę rzekę, która płynie pod nami. Całe piękno i ohyda, delikatność i okrucieństwo tego świata, złączone w jednym nurcie, którego nikt nie zdoła powstrzymać. Rzeka jest niewyciężona. To ona wybiera sobie brzegi, pomiędzy którymi płynie. Znajduje najniższe miejsce, aby podważyć niewzruszony kamień. > >





A kiedy napotka nieusuwalną przeszkodę, omija ją. Możesz płynąć wraz z nią, możesz osiąść na dnie, ale nigdy jej nie opanujesz.

SYN (poruszony, szeptem, bardziej do siebie, niż do P e r s o n y): Niesamowite. Przypomniałem sobie. Ona jest... Muszę ją jeszcze kiedyś spotkać...

PERSONA (bardziej do siebie, niż do S y n a): Ten most, zawieszony ponad rzeką jest jedynym wyjściem. Zastanawiasz się, czemu o tym mówię? Pokonuję ten most niemal codziennie, patrząc, jak zmienia się moje miasto. Na tym moście stałem z ukochaną i wsłuchiwałem się w odgłos wibracji metalowych konstrukcji. I przez ten most przejdą kiedyś moje dzieci, wpatrzone w nienarodzone jeszcze obrazy... (Nachyla się i szepcze S y n o w i do ucha): Synu, posłuchaj mnie, mam dla ciebie wielki dar. Wiem, jak przetrwać. Wiem, jak zdobyć nieśmiertelność. Istnieją tajemne drogi, którymi można dostać się do Zachodniej Krainy, gdzie twoja dusza będzie żyć wiecznie. Możesz przetrwać w swoich dziełach i uczynkach, w pamięci innych ludzi, w bibliotekach, pomnikach i w nazwach ulic... Możesz być nieśmiertelny!

SYN (dobytując głosu): Ale kto ma zdobyć nieśmiertelność? Ja czy mój umysł? Nie chcę być pustym słowem, uwięzionym w siatce geometrycznych płaszczyzn! Chcę głębin zwątpienia i gniewu, radości i namiętności! Ja wciąż jej pragnę! Chcę ją jeszcze spotkać. Chcę złączyć się z nią, razem z nią popłynąć tym nurtem i razem z nią przeminąć... Nigdy jej nie zostawię!... Nie pójdę do pilnie strzeżonego miasta symetrii i wydajności. To nie dla mnie!...

Odchodzi, zanim P e r s o n a znajdzie rozsądną odpowiedź.

Dzień 5: Własny pokój

To jaskrawe, zielone światło, bytujące w sferze Zespołu Wytworów jest zielonym, lśniącym światłem Mądrości Czynnej i Wykonującej; jej ostry połysk wzbudza niepokój...

Tybetańska Księga Umarłych

Czyste, zielone światło. S y n przechodzi na drugą stronę Mostu. Wchodzi na przystanek tramwajowy. Za nim, koło śmietnika znajduje się stos gratów i starych mebli. S y n wybiera przydatne jeszcze przedmioty: stolik, fotel, lampkę nocną, obraz w ramach, dywanik. Urządza z nich całkiem przytulny pokój. Siada w fotelu przy lampce. Nagle ze ścian pokoju wychodzą D w i e S i o s t r y.

SIOSTRA 1: Długo cię nie było! Nie dzwoniłeś, nie pisałeś... A tu tyle rzeczy się wydarzyło! Dużo straciłeś! Świat przecież nie stoi w miejscu! >>





SYN: Przepraszam, czy my się znamy?

SIOSTRA 2: Już nas nie pamiętasz? Przecież to my!... Patrz, gdzie się znalazłeś. I co teraz zrobisz? Gdzie pójdziemy, dokąd nas zabierzesz?

SYN: Spokojnie! Wydaje wam się, że możecie tak tu sobie wejść?!

SIOSTRA 1: A gdzie my jesteśmy?! I co to w ogóle jest?! Proszę bardzo: niezapłacone rachunki, brudne ubrania, meble ze śmietnika i stare książki! Po co ci te wszystkie rzeczy?! Przecież ty i tak już...

SYN: O czym ty mówisz?! To wszystko jest moje! Nie pozwalam!...

SIOSTRA 2: A co ty masz do gadania?

W trakcie kłótni schodzą się dotychczasowi bohaterowie: L a l k a, C e l e b r y t a, P e r s o n a.

SYN: Kim wy jesteście?! Nie znam was! Nie mam z wami nic wspólnego!

Pokój zalewa kolejno: błękitne, białe, żółte, czerwone i zielone światło. Mija cały kolejny dzień.

Dzień 7: Posesja

Przy wtórze bębnow, fletów z piszczeli, damaru, niosąc furkoczące proporce ze skóry bydła, baldachimy i frędzle z ludzkiej skóry, wśród dymu ze smażących się ludzkich ciał i różnorodnej muzyki cały ten tłum napelni wszystkie zakątki świata falując, zataczając się i trzęsąc...

Tybetańska Księga Umarłych

Do pokoju wchodzi M i s t r z y n i C e r e m o n i i. Za sprawą dostojnego kroku i niezwyklego przybrania głowy wydaje się wyższa, bardziej majestatyczna od pozostałych osób. W zamieszaniu spowodowanym kłótnią, rozlega się jej donośny głos.

MISTRZYNI CEREMONII (zwraca się do obecnych): Skąd się tu wzięłeś? Co tu robisz? Jak się nazywasz? Taki jesteś pewien? Nic cię już nie zaskoczy? Gdzie się znajdujemy? Kogo brakuje? Na co czekamy? I co możemy teraz zrobić? Beładny stos przedmiotów zamienił się w dom. Pusty dom wyzwolił swoją duszę. Oto szczyt marzeń: wysokie, białe ściany, przyszyty trawnik, samochód na podjeździe. Posesja z dala od zagrożeń, daleko od wojen i głodu, czeka na swoich mieszkańców. Przybywajcie!

Na scenę wdzierają się widzowie, przypadkowi przechodnie, muzycy uliczni, fotograficy, dziennikarze. Zgromadzeni ludzie zaczynają plądrować pokój na oczach S y n a, który bezskutecznie usiłuje ich powstrzymać. > >



MISTRZYNI CEREMONII: I proszę, wszyscy się schodzą. Zajmują swoje miejsca. Dom nie jest już pusty. Każde pomieszczenie ma swojego mieszkańca. Każdy mieszkaniec uważa, że jest właścicielem domu. Każdy przychodzi o innej porze i inaczej porządkuje kolekcję zgromadzonych przedmiotów. Te wszystkie drobiazgi, które usiłujemy scalić w obłędnym pragnieniu jedności. Odpryski lustra, w których odbijają się nasze twarze. Staramy się utożycić z nich jeden obraz. Obraz rozpada się. Układamy jeszcze raz. Teraz my się rozpadamy. Obraz zalewa oślepiające światło. Blask bez granic pochłania nas i cały świat. Nie ma już nas, nie ma świata, nie ma blasku. Stajemy się. Nadciąga deszcz.

Pokój zalewa woda. Przedmioty i ludzie unoszą się bezwładnie na falach. Syn próbuje wyłowić drobiazgi porwane przez żywioł: jakieś kartki, monety, książki, zdjęcia, zegarek, but, krawat, korkociąg...

Poranek: Nowy brzeg

Ziemię pochłania woda, wodę – ogień, ogień – wiatr, wiatr – czysta świadomość.

Tybetańska Księga Umarłych

Woda porwała Most, splukała rekwizyty, postaci i widownię. Wstaje świt: wraz ze wschodem słońca następuje odpływ. Wyłania się nowy brzeg. Na scenie zostają jedynie Syn oraz Mistrzyni Ceremonii.

MISTRZYNI CEREMONII: Stań prosto. Patrz, woda wycofała się i oddała nam tę ziemię. Z żyznego mułu wyrastają łany zboża i mury miast. Niewolnicy i władcy. Słowa i tajemnice. Rozwijają się drogi. Ogień łączy się z drewnem. Historia tego świata płynie z nurtem rzek. Urodzajna dolina jest w zasięgu twoich ramion. Trzymasz w objęciach błękitne powietrze, popielate wzgórza i liliową smugę widnokręgu. Tutaj bije źródło twojej opowieści. Nie przywiązuj się do niczego. Iskry poranka, mżyste popołudnia, skłębione obłoki zmierzchu – niech przepływają swobodnie przed twoimi oczami. A ty idź dalej. Pod ziemią huczy ocean.

Do Syna podchodzą Dwie Siostry. Ubierają go w skórę Łalki.

1 SIOSTRA: Czekaliśmy na ciebie.

2 SIOSTRA: Idziemy?

* * *





